

# Sprawiedliwie



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

# Sprawiedliwie

## I

Noc była przedwiosenna — marcowa, noc pełna deszczów, zimna i wichrów.

Lasy stały pokurczone i odrętwiałe, przemoknięte do szpiku; chwilami wstrząsał nimi dreszcz lodowaty, bo się trzęsły febrycznie i jakby trwogą ogarnięte rozwijały gałęzie, otrząsały się z wody, szumiały ponuro, zaczynały sieć ciemności i oszalałe bólem marznięcia — wyły dziką pieśń katowanych bezlitośnie.

Chwilami polatywał mokry śnieg i jakby przyciszał wszystko i mroził, że lasy milkły i opuszczały się bezwładnie, i cichły — tylko wskroś mroków, wskroś puszczy, wskroś tych pni potężnych, oniemiałych nagle, włócił się jakiś cichy a bolesny jęk lub zrywał się ostry, przerażający krzyk marznącego ptaka i suchy trzask spadającego po gałęziach ciała.

To znów przychodził wiatr, milczkiem czołgał się w ciemnościach i rzucał się z furją na lasy, wilgotnymi kłami wżerał się w głębie, topił śniegi, obrywał gałązki, łamał gęste podszycia i z wyciem triumfu tarzał się po polanach, i miotał borem jakby kępą trzciny wiotkich — a wtedy z głębin nocy, z tych przerażających pustek przestrzeni wyczołgiwały się ogromne, brudne chmury, podobne do rozwichrzonych a przegniłych stogów siana, opadały na lasy, czepiały się wyniosłości, okręcały podartymi strzępami drzewa, dusiły je w ohydnym uścisku i mżyły zimnym, nieustannym deszczem, przenikającym nawet kamienie.

Noc była straszna: drogi puste i zalane błotem pomieszanym z resztkami śniegów; wsie ciche, jakby wymarłe, pola martwe, sady bezlistne i pokurczone, rzeki w kajdanach lodów — nigdzie człowieka, nigdzie głosu życia — jeno ogromne królowanie nocy.

W jednej tylko karczynie przyłęczkiej błyskało małe światełko.

Karczma stała wśród lasów, na rozdrożu; poza nią na zboczu góry majaczyło kilka chałup, a dookoła stał potężny, czarny bór.

Jasiek Winciorek wysunął się ostrożnie z gąszczów na drogę i dojrawszy migocące światełko chyłkiem podszedł do okna. Długo stał bezradnie, rozglądał się po wnętrzu karczmy, nasłuchiwał, to rzucał strwożone spojrzenia dookoła, nie wiedział, co począć; bał się wszystkiego tak, że się już cofnął od okien, już zrobił kilka kroków ku lasom, ale zawiął wiatr i takim zimnem go przejął, iż chłopak zaczął się trząść w sobie, więc się zawrócił, przeżegnał i wszedł do karczmy.

Karczma była wielka; czarny pułap wisiał nad glinianą podłogą i przyciskał pokrzywione ściany, odarte z wapna, przecięte dwoma okienkami na wpół oślepyłymi, zapchanymi słomą.

Na wprost okien za grubą, drewnianą kratą stał szynkwas<sup>1</sup>, bokiem przyparty do wielkich beczek, na których kopcila się czerwonawo lampka naftowa. Izbę zalegał gęsty mrok, rozświetlany błyskami ognia dogasającego na wielkim, staroświeckim kominie, przy którym rozłożyła się jakaś para dziadowska. W drugim kącie, prawie ciemnym, majaczyło kilkanaście osób, zbitych w kupę i coś tajemniczo szepczących. Przed szynkwasem stało dwóch chłopów; jeden ścisnął butelkę w garści, a drugi podstawił kieliszek, przepijali gęsto do siebie i kiwali się sennie.

Thusta, czerwona dziewczka chrapała za kratami, oparta o beczki.

Zapach wódki, pomieszany z zapachem rozmięklej gliny i przemokniętych szmat, rozwlóczył się po karczynie.

<sup>1</sup>szynkwas — lada w szynku, w karczynie, przy której kupowało się trunki. [przypis edytorski]

Las

Karczma

Chwilami taka cisza opadała na izbę, że słycać było szum lasu, brzęczenie deszczu po szybach i trzask świerkowych gałązek w kominie, a wtedy niskie drzwi, ukryte za kratami, otwierały się ze skrzypem i wyglądała z nich stara, siwa głowa Żyda, ubranego w modlitewne szaty i śpiewającego półgłosem; a za nim jaśniała oświetlona świeczkami izba, z której razem z szabasowymi<sup>2</sup> zapachami buchał przyciszony odgłos monottonnych, smutnych śpiewów.

Jasiek wypił kilka kieliszków jeden po drugim i gryzł zapamiętałe suche, zapleśniałe bułki, ciągnące się w zębach jak rzemień, przegryzając je śledziem i pilnie bacząc na drzwi, to na okno, a jeszcze pilniej łowiąc wszystkie szemrzące w karczmie głosy.

— Żenić, nie psiekurki, żenił się nie bede! — krzyknął naraz chłop, trzasnął butelką o szynkwias i splunął aż na plecy dziada siedzącego przy kominie.

— A żenić się musisz abo<sup>3</sup> pieniądze oddać! — szepnął drugi.

— Loboga<sup>4</sup>, tyła<sup>5</sup> pinindzy! Jewka, kwaterkę<sup>6</sup> śpritu<sup>7</sup>, ja płacę!

— Pieniądz wielga rzecz<sup>8</sup> — baba większa...

— Nie, psiekurki, żenił się nie będę, wyprzedam się, zapożyczę, pieniądze oddom, a żenił się nie będę z tą zapowietrzoną<sup>9</sup>.

— Napij no się do mnie, Antek, coć<sup>10</sup> rzeknę...

— Już wy mnie nie ocyganicie<sup>11</sup>. Pedziałem<sup>12</sup> nie, to nie, a jak co — to ucieknę choćby do Brezylji, ano, z tymi ludźmi, na kraj świata...

— Głupiś! Napij no się do mnie, Antek, coć rzeknę...

Przepili do siebie po razy kilka i zaczęli całować się na przemian i zmiłkli, bo dziecko zapłakało w drugim kącie, a pomiędzy cicho i trwożnie siedzącą gromadą ruch się jakiś zrobił.

Wysoki, suchy chłop wynurzył się z ciemności i wyszedł z karczmy.

Jasiek przysunął się do ognia, bo ziąb go przejmował do kości, śledzia nadział na patyk i zaczął go przypiekać na węglach.

— Odsuniecie no się ździebko<sup>13</sup> — szepnął do dziada, który bosc nogi trzymał na torbach, a choć był całkiem ślepy, suszył przy ogniu przemoknięte onuce<sup>14</sup> i wciąż po cichu rozmawiał z babą, zajętą przygotowaniem jadła i dokładaniem gałązek pod denarek<sup>15</sup>, na którym stał garnek.

Jaškowi cieplej się zrobiło, a z jego kapoty szła para jakby z cebra z gorącą wodą.

— Niezgorzyšta<sup>16</sup> zmiękli! — szepnął dziad, pociągając nosem.

— Przecie — szepnął i drgnął gwałtownie; drzwi skrzypnęły, ale to wszedł ten chudy chłop i zaczął coś półgłosem opowiadać gromadzie kupiącej się<sup>17</sup> do niego.

— Nie wiecie, kto to? — szepnął Jasiek, trącając dziada w rękę.

— Tamte! a kto? Głupie, jadą do Brazylji — odrzekł, spluwając.

Jasiek już się nie odezwał, suszył się i raz po raz wodził oczami po karczmie, po ludziach, którzy targani jakimś niepokojem, to mówili coraz głośniejszy, to miłkli nagle i co chwila ktoś z nich wychodził z karczmy i powracał natychmiast.

<sup>2</sup>szabas — żydowski dzień święty, wypadający w sobotę, poświęcany odpoczynkowi i modlitwie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>abo (daw.) — albo. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>loboga (gw.) — olaboga, daw. wykrzyknienie wyrażające zaskoczenie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>tyła (gw.) — tyle. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>kwaterka (daw.) — miara pojemności, czwarta część kwarty, tj. ok. ćwierć litra. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>śprit (gw.) — spirytus. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>rzecz (gw.) — rzecz. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>zapowietrzony (daw.) — zadżumiony, chory na dżumę; gw. używane jako wyzwisko. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>coć (gw.) — co ci. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>cyganic — zmyślać, oszukiwać. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>pedziałem (gw.) — powiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>ździebko (pot.) — trochę. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>onuce — tkanina lniana (późn. bawełniana) w kształcie kwadratu a. prostokąta, którą owijano stopy, by chronić je przed zimnem i otarciami od obuwia; dziś onuce zastąpione zostały przez skarpety. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>denarek (zdr., daw.) — żelazny trójnóg używany jako podstawka pod kocioł a. garnek. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>niezgorzyšta zmiękli (gw.) — niezgorzej (nie najgorzej) zmiękłście. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>kupić się (daw.) — skupiać się, gromadzić się. [przypis edytorski]

Z alkierza<sup>18</sup> szczyły się coraz monotonna glosy spiewow, az jakis wychudzony pies wypelnzal skadcis<sup>19</sup> do ognia i zaczal warczec na dziadow. Dostal kijem, az zaskowyczal z bolu, polozyl sie na srodku izby i zalosnym, glodnym wzrokiem patrzył na pare unoszaca sie nad garnkiem.

Jaškowi bylo coraz cieplej, zjadł śledzia i reszte bulek, ale równocześnie poczul, ze jeśc chce mu sie teraz jeszcze srozej<sup>20</sup>. Obmacal kieszenie drobiazgowo i nie znalazłszy ani grosza skulil sie tylko i bezmyślnie zapatrzył w garnek i w czerwone plomyki ognia.

— Chce sie wam jeśc, co? — zagadnela baba po chwili.

— I... ździebko mi ta w brzuchu kruczy<sup>21</sup>...

— Kto to? — zapytal dziad po cichu kobiety.

— Nie bój sie, nie da ci zlotowki abo i grosika<sup>22</sup>... — mruknela zlosliwie.

— Gospodarz?

— Taki jak i ty, ze swiata! — szepnela, zdejmujac garnek z denarka.

— Ino<sup>23</sup> ludzie dobre sa ze swiata... zwierz abo druga swinia ze chliwa... He?... — szturgnal Jaška kijem.

— Prawda, prawda — odpowiedzial chlopak bezmyślnie.

— Coś macie na watpiach<sup>24</sup>, tak miarkuję... — szepnal dziad po chwili.

— A bogac tam<sup>25</sup>, nie mam...

— Pan Jezus zawždy<sup>26</sup> mawial: Jakes glodny — jedz, jakes spragniony — napij sie, a jakes cierzpiacy<sup>27</sup> — nie gadaj!

Jasiek podniosl znękanie, pelne lez oczy na dziada.

— Zjedzcie ździebko, dziadowska to potrawa, ale wam pundzie<sup>28</sup> na zdrowie, zjedzcie... — prosila baba, nalewajac mu spora porcje na jakas skorupe.

Wyciagnela z torby kawal razowego chleba i podsunela nieznacznie, a potem, gdy sie do jadla przysunal blizej, kiedy ujrzala jego twarz strasznie wynędzniata, szara i jakby odartą z ciata, tknela ja taka litośc, ze wydobyła kawal kielbasy i polozyla mu na chlebie.

Jasiek oprzec sie glodowi nie mogl ani zaproszeniom, wiec jadal łapczywie, rzucajac od czasu do czasu jakas kosc psu, ktory sie przyczolgal do niego i patrzył proszaco.

Dziad sluchal dlugo, a potem, gdy i jemu baba wetknela w garśc garnek, podniosl lyzke do gory i rzekl uroczyście:

— Jedzcie, czlowieku. Pan Jezus powiedzial: Dasz biednemu grosz, to ci drugi odda dziesiatka... Jedzcie z Bogiem, czlowieku...

Jedli w milczeniu.

A w przestanku<sup>29</sup> dziad otarl rekawem usta i powiedzial:

— Trzech rzeczy potrza<sup>30</sup>, zeby jadlo poszlo na zdrowie: gorzalka, sol i chleb; daj, babo, gorzalki!

Napili sie wszyscy troje i jedli dalej.

Jasiek prawie zapomniat o niebezpieczenstwie, nie rzucal juz trwoznych spojrzeń na karczme ani na okna i drzwi.

Jadł tylko, nasycal sie cieplem, nasycal z wolna ten czterodniowy glod, jaki mu zarł wnetrzności, uspokajal sie ta cisza, jaka zapanowala w izbie.

<sup>18</sup>alkierz (daw.) — mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>skadcis (gw.) — skądś, nie wiadomo skąd. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>srozej (daw., gw.) — silniej, mocniej, bardziej. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>kruczec — burzczyć w brzuchu (z głodu). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>zlotowka... grosik — w kongresowym Królestwie Polskim początkowo funkcjonował nadal polski system monetarny, od 1832 emitowano monety pol.-ros., następnie ros.-pol., z wybitą wartością równocześnie w rublach oraz w złotych (ówczesna złotówka = 15 kopiejek = 15/100 rubla, grosz = 1/2 kopiejki); od 1850 wybijano tylko monety czysto rosyjskie, jednak w języku potocznym utrzymały się nazwy „złotówka” i „grosz”. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>watpia (daw., gw.) — wnetrzności; mieć coś na watpiach — pot.: mieć coś na wątrobie; martwić się czymś, nie ujawniając. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>bogac tam (daw., gw.) — gdzie tam. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>zawždy (daw., gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>cierzpiacy (gw.) — cierpiący. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>pundzie (gw.) — pójdzcie. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>przestanek (przestarz.) — przerwa. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>potrza (gw.) — potrzeba. [przypis edytorski]

Chłopi sprzed szynkwasu poszli, a gromada w kącie, porozkładana na ławach i mo-  
krej podłodze, z głowami na tobołkach, drzemała cicho. Z alkierza tylko dochodził coraz  
senniejszy szmer śpiewów.

A deszcz padał wciąż i przeciekał przez dach, bo w kilku miejscach kapało z pułapu  
i na gliniastym toku<sup>31</sup> tworzyły się okrągłe, grząskie i lśniące place błota. Czasem wiatr  
zatrząsał karczmą, huczał w kominie, rozrzucił ogień i wypychał dym na izbę.

— Naści<sup>32</sup> i tobie, obieżyświacie — szepnęła, dając resztki jadła psu, który kręcił się  
koło nich i żebrał oczami.

— Jak se człek w brzuch co włoży, to mu i w piekle niezgorzej — powiedział dziad,  
odstawiając próżny garnek.

— Bóg wam zapłać za pożywienie. — Ścisnął dziada za rękę, ale ten nie puścił mu jej  
zaraz, tylko obmacywał delikatnie.

— Bez<sup>33</sup> parę roków<sup>34</sup> niceście<sup>35</sup> rękami nie robili — mruknął.

Jasiek zerwał się trwożnie.

— Siadaj, nie bój się. Pan Jezus powiedział: Wszystkie są sprawiedliwe, które się boją  
Boga i wspomagają biedne sieroty. Nie bój się, człowieku. Nie judasz ci ja ani Żyd, ino  
chrześcijan sprawiedliwy i biedna sierota...

Zamyślił się chwilę, a potem przyciszonym głosem mówił:

— Na trzy rzeczy bacz<sup>36</sup>: byś kochał Pana Jezusa, nie był głodny i dawał biedniejszemu  
— a reszta, to samo nic, paskudny wymysł ludzki... Mądryemu potrza o tym wiedzieć, aby  
się nie frasował<sup>37</sup> po próżnicy<sup>38</sup>... Wie się i to, i tamto, i niejedno... He! co mówicie?...

Nastawił uszów<sup>39</sup> i czekał, ale Jasiek nie odrzekł nic, milczał uparcie, bał się zdradzić,  
więc dziad wydobyl tabakierkę lubianą<sup>40</sup>, trzepnął w nią palcem, zażył, kichnął i podał  
chłopakowi, a nachyliwszy do ognia swoją ogromną, ośleplą twarz zaczął mówić cichym,  
monotonnym głosem:

— Nie jest sprawiedliwie na świecie, nie. Po faryzejsku<sup>41</sup> ino wszędy, a na urwisa,  
kto kogo przody<sup>42</sup> przeprze<sup>43</sup>, kto kogo prędy ocygani, kto kogo prędy zakłyżni<sup>44</sup>. Nie  
tego Pan Jezus chciał na świecie, nie tego. Hale! Przyjdiesz do jakiego dworu i czapkę  
zdejmiesz, i śpiwasz, jaże<sup>45</sup> gardziel pęka, i o Jezusie, i o Marii, i o wszystkich świętych,  
czekasz — nic; dołożysz parę pacierzy do Przemienienia Pańskiego<sup>46</sup>, czekasz — a oto  
ino pieski ochotnie piszczą do twoich torbów<sup>47</sup> i dziewczki gzą się za płotami; dodajesz  
jeszcze litanie — wynoszą ci dwa grosze abo spleśniałą kromkę chleba! Abyšta<sup>48</sup>, juchy<sup>49</sup>,  
poślepy i same jeszcze dziadów prosiły o wspomnienie. A to po takim modleniu to me<sup>50</sup>  
samego gorzałka kosztuje więcej, coby se gardziel przepłukać!...

Splunął ze złości.

<sup>31</sup>tok (daw.) — klepisko, podłoga z ubitej gliny. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>naści (daw., gw.) — masz. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>bez (gw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>roki, roków (gw.) — lata, lat. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>niceście rękami nie robili (gw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nic rękami nie robiliście. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>baczyć (daw., gw.) — uważać, pamiętać. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>frasować się (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>po próżnicy — na próżno. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>uszów — dziś popr. forma D. lm: uszu. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>lubiany — wykonany z *luby*, czyli tzw. dartki drzewnej: długich, cienkich pasów struganych z miękkiego  
drewna. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>po faryzejsku — obłudnie; *faryzeusze*: członkowie staroż. żydowskiego stronnictwa polit.-rel. w Palestynie,  
którym zarzucano fałszywą, uprawianą na pokaz pobożność. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>przody (gw.) — wprzody, najpierw, wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>przeprzeć — pokonać, przewyciężyć. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>zakłyżni (gw.) — zapewne przen.: zagryzie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>jaże (gw.) — aż. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>pacierze do Przemienienia Pańskiego — zapewne modlitwa katolicka zwana *Koronką do Przemienienia Pań-  
skiego*, w ramach której powtarza się „pacierze”, czyli modlitwy *Ojciec Nasz* i *Zdrowaś Mario*. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>torbów (gw.) — toreb. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>abyšta (gw.) — obyście. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>jucha (daw., gw.) — krew, tu jako obelga. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>me (gw.) — mnie. [przypis edytorski]



— A bo to drugim lepiej, co? — ciągnął znów po zażyciu tabaki. — Jantek Kulik, anoten z Dębów... wzion dworskiego prosiaka... myślisz, że użył? A juści<sup>51</sup>... chudo jucha była kiej<sup>52</sup> pies dworski... całą tłustość można było wytopić do kwarty<sup>53</sup> gorzałki... To za to go wzieni i zasądziły na pół roku siedzieć... I za co? Za marnego prosiaka! Jakby to swyniak nie był też boskim stworzeniem... i jakby to jedni mieli mrzeć z głodu, kiej drugie mają wszyckiego po grdykę... A przecież Pan Jezus powiedział: Co weźmie biedny, to jakbys dał dla mnie samego. Amen! — Napijesz się, co?

— Bóg zapłać, kiej me już rozebrało zdziebko.

— Głupiś! I Pan Jezus pił na godach<sup>54</sup>. Pić, to nie grzech; grzech ino schlać się kiej swynia, nie wypić bożego daru do dna i siedzieć nie mówiący<sup>55</sup>, kiej dobrzy ludzie gadają...

— Przypijcie do mnie! — szepnął z determinacją.

Dziad przepił butelkę, aż mu długo bulgotało w gardle, a podając Jaškowi rzekł wesoło:

— Pij, sieroto! Na trzy rzeczy ino bacz: byś robił cały tydzień, pacierz mówił w niedzielę i dawał biednemu — a zbawienie duszne<sup>56</sup> miał będziesz. Człowieku, mówię ci, nie możesz pić kusztyczkem<sup>57</sup>, to napij się kwartą...

A potem zamilkli wszyscy.

Baba spała z głową zwisłą przy ogniu przygasłym, dziad wytrzeszczał zaszłe bielmem<sup>58</sup> oczy na czerwone węgielki i raz po raz kiwał się zawzięcie; głosy i szepty w kącie pomilkły, tylko wiatr coraz silniej uderzał w szyby i wstrząsał drzwiami, a z alkierza zrywały się głosy śpiewów przepojonych jakby żalem i rozpaczą...

Jasiek był już zupełnie zmorzony ciepłem i wódką, czuł się tak sennym, że wyciągnął nogi przy ogniu i miał nieprzepartą chęć położenia się... Bronił się jeszcze odruchami świadomości, odruchami strachu, ale już co chwila zapadał w stan zupełnego odrętwienia, że nie pamiętał o niczym. Tuman rozkoszny, pełen ciepła, blasków ognia, jakichś słów dobrych, spokoju i ciszy omraczał go zupełnie i przejmował głębokim uczuciem zadowolenia i bezpieczeństwa.

A czasem się obudził nagle, nie wiadomo dlaczego, obrzucał wzrokiem karczmę i słu chał przez chwilę dziada, który drzemiąc mruczał:

— „Za wszystkie duszyczki w czyścju zostające: Zdrowaś Maria, łaskiś...”. Człowieku, mówię ci, że dobry dziad mieć powinien: kij z jeżem<sup>59</sup>, głęboką torbę i długi pacierz...

Rozbudził się i czując Jaška oczy na sobie mówił już przytomnie.

— Słuchasz, co mówi stary — to mówię ci, napij się do mnie... i słuchaj jeszcze. Człowieku, mówię ci: bądź mądrym, ino tego nikomu w oczy nie ciep<sup>60</sup>. Obacz wszycko, ale na wszycko bądź ślepym... Żyjesz z głupim — bądź od niego głupszym... z kulawym — nie miej wcale kulasów<sup>61</sup>; z chorym — umieraj za niego. Dadzą<sup>62</sup> grosz... dziękuj jakby za złotówkę... Wyszczyj cię psami... ochfiaruj<sup>63</sup> to Panu Jezusowi... Zleją kijem... zmów pacierz...

Człowieku, mówię ci: rób, coć radzę, a torby miał będziesz pełne, brzuch kiej kłodę, a cały świat poprowadzisz na postroneczku kiej głupiego bydlaka... He! he! he! Nie dzisiejszym człowiek, nie; wie się i to, i tamto, i drugie<sup>64</sup>!... Kto ma pomiarkowanie<sup>65</sup>, jaki to świat jest, temu źle nie będzie. We dworze pomstuj na chłopów — pewny grosz i ochłap z obiadu; u księdza: na chłopów i na dwory — pewne dwa i rozgrzeszenie; w chałupach na wszystkich — a będziesz jadł jakby ze słoniną i pił wódkę z tłustością... Człowieku,

<sup>51</sup>juści (gw.) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>kiej (gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>kwarta — daw. miara objętości, ok. 1 litra. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>gody (daw.) — wesele, święto. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>siedzieć nie mówiący — siedzieć, nie mówiąc. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>duszny (daw.) — duchowy. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>kusztyczek — mały kieliszek. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>bielmo — zmętniona rogówka w oku. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>kij z jeżem — tj. kij ze skórka jeża na końcu, którym wędrowni żebracy oganiali się od natarczywych psów. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>ciepać (gw., pot.) — rzucać; uderzać. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>kulas (gw.) — noga. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>dadząć — dadzą ci. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>ochfiarować (gw.) — ofiarować. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>drugie (daw., gw.) — inne. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>pomiarkowanie (daw., gw.) — rozoznanie, zrozumienie. [przypis edytorski]

mówię ci... „Za duszę Juliny: Zdrowaś Maria!...” — zaczął bezwiednie sennym głosem, chwiejąc się na ławce...

— „Łaskiś pełna...” Wspomóżta biednego kalekę... — zaczęła trzepać baba, podnosząc przez sen głowę z komina.

— Cichoj, głupia! — krzyknął, budząc się nagle, bo drzwi wchodowe<sup>66</sup> głośno zatrzęszczały i wsunął się nimi wysoki, rudy Żyd.

— W drogę, już czas! — zawołał głucho i natychmiast cała gromada drzemiących zerwała się na nogi; zaczęli się obładowywać tobołami i ubierać, kupić, to wysuwać na środek izby, to cofać bezładnie. Gwar przyciszony, trwożny, pełen akcentów skarg czy żalów zerwał się ze wszystkich piersi. Słowa krzyżowały się gorączkowo; nawoływania, szepty, przekleństwa, tupania, to znów początki pacierzy mówionych półgłosem, rumor, płacz dzieci — wszystko to przyciszone, jakby siłą powstrzymywane, napępniało ponurą, czarną izbę grozą i strachem.

Jasiek przebudził się zupełnie i przyciśnięty plecami do boków stygnącego komina, przyglądał się ludziom ciekawie, o ile można było widzieć ich kontury w ciemnościach.

— Gdzie oni idą? — zapytał dziada.

— Do Brazylii.

— Daleko?

— Ho! Ho!... Na kraj świata, za dziesiąte morze.

— Laczego? Po co? — rzucił jeszcze ciszej.

— Raz, że są głupie, a drugie, że są biedne...

— A znają to drogę? — zapytał znów zdumiony ogromnie.

Ale dziad już nie odpowiedział, szturchnął babę kijem, wysunął się ku środkowi izby, ukląkł i zaczął płaczącym, śpiewnym głosem:

— Za morze idzieta, za góry, za lasy... na kraj świata, to niech wam Pan Jezus błogosławi, sieroty! Niech was ta Częstochowska Panienska trzyma, niech waju<sup>67</sup> wszyscy święci wspomagają, za ten grosz, co go dacie biednemu kalece... Do Przemienienia Pańskiego — „Zdrowaś Maria...”

— „...Łaskiś pełna, Pan z Tobą...” — trzepała baba, klękając obok.

— „...Błogosławionaś Ty między niewiastami” — odpowiedziała gromada, wysuwając się na środek.

Wszyscy poklękli, zerwały się ciche płacze, głowy się pochylily, a serca z największą wiarą i pokorą oddawały się modlitwie. Gorący wiew ufności rozpalil przygasle oczy i wynędzniałe, szare twarze ludzi, prostował przygięte ramiona i tak wzmacniał, że wstawali od pacierza silni, niezmożeni.

— Herszlik! Herszlik! — wołali na Żyda, który znikł w alkierzu.

Było im pilno iść w ten świat nieznany, tak straszny przez to, a tak pociągający.

Było im pilno brać się za bary z nową dolą, a uciekać od starej.

Herszlik wyszedł, uzbrojony w ślepą latarkę, porachował ludzi, kazał się im ustawić w pary, otworzył drzwi i ruszyli — jak widmowy zastęp nędzy, jak sznur cieniów okrytych w lachmany, przygarbionych ciężarem tego jutra, do którego szli z mocą nadziei...

Przepadli zaraz w ciemnościach i deszczu.

Tylko w mrokach nocy i rozkołysanych drzew błysnęło na chwilę światło przewodnika, a z szumem lasów, z poświstem wichrów, z ciemności tej nocy strasznej dobiegł jęklivy, przelzawiony trwogą śpiew: „Kto się w opiekę odda Panu swemu...”<sup>68</sup>.

I rwał się w wicherze jak przesmutny jęk umierających...

— Chudziaki<sup>69</sup>! Sieroty! — szepnęła Jasiek, patrząc za nimi i jakiś dziki żal ścisnął mu duszę obolałą.

Powrócił jednak do karczmy już ciemnej i oniemiałej, bo dziewczka zgasiła światło i poszła spać, w alkierzu pomilkły śpiewy, tylko dziad nie spał, obliczał z babą jałmużnę.

<sup>66</sup>wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>waju (gw.) — wam. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Kto się w opiekę odda Panu swemu... — polska pieśń religijna, której tekst to poetycki przekład psalmu 91 z *Psalterza Dawidowego* Jana Kochanowskiego; popularna w XVIII–XIX w. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>chudziaki (gw.) — biedactwa. [przypis edytorski]

— Chuda fara<sup>70</sup>! Dwa złote i dwadzieścia pięć groszy całej parady<sup>71</sup>... Hm!... Niech im ta tego Pan Jezus nie pamięta, a wspomaga...

Gadał jeszcze, ale Jasiek już nie słyszał. Przytulił się do wygasłego komina, okrył się, jak mógł, w przeschniętą nieco kapotę i zapadł w kamienny sen.

Dobrze po północy obudziło go mocne szarpnięcie i światło skierowane prosto w oczy.

— Hej! Brat! Wstawaj! Kto ty taki?... Pasport u ciebie jest?

Oprzytomniał natychmiast; dwóch strażników stało przed nim...

— Pasport u ciebie jest? — zapytał po raz drugi strażnik, potrząsając nim jak snopem.

Ale za odpowiedź Jasiek zerwał się na równe nogi i trzasnął go pięścią między oczy, aż strażnik puścił latarnię i zwałił się w tył, a Jasiek runął w drzwi i wybiegł... Pognał za nim drugi strażnik i nie mogąc już chwycić, strzelił.

Jasiek zachwał się nieco... krzyknął i upadł w błoto, ale zerwał się natychmiast i zginął w mrokach lasu.

## II

Jasiek uciekał jak oszalały, rozbijał się o drzewa, kaleczył o krzaki, padał, podnosił się i biegł gnany strachem, bo mu się wydawało, że pogoń jest tuż, że czuje już ręce chwytające go za ramiona, że słyszy krótkie, urywane oddechy za sobą... więc dwoił siły i gnał jak wichur, aż śmiertelnie zmęczony upadł w jakieś krzaki i leżał długi czas nieprzytomny prawie...

Rozbudził go straszny ból, jaki nagle poczuł w boku, uniósł się nieco i oczami pełnymi strachu, oczami gonionego zwierzęcia rozglądał się w ciemnościach. Nie zobaczył nikogo i nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje; dokoła chwiało się i szumiało ponury bór, podszyty gęstymi krzakami.

Przyczołgał się do jakiegoś drzewa i opadł na ziemię ze skowytami — bok zabolął go strasznie. Skulił się we dwoje i tak siedział, jęcząc przez zaciśnięte zęby. Ból się pastwił nad nim, od rany w boku rozchodził się koncentrycznie, promieniował i w każdy centr<sup>72</sup>, w każdy nerw wbijał mu ostre, nieskończenie długie i strasznie piekące igły... Udarł garść mchu i zatykał sobie ranę, zatamowywał krew, która ciepłym strumieniem oblewała mu bok, czuł ją już w butach nawet.

A co chwila robiło mu się tak słabo, tak dziwnie, że siedział omdlały, nie wiedząc o tym, budził się jednak z tej drzemki śmiertelnej, patrzył przygasłym wzrokiem w noc i szeptał przez łzy:

— Jezus! O Jezus Maria!... O Jezus!

A potem nie czuł już żadnego bólu, drętwiał z wolna, zamrażał go przenikliwy chłód i ten deszcz mżący nieustannie.

Las wciąż szemrał surowym, straszonym szeptem mroku.

A noc włókła się wolno... wolno... strasznie wolno...

Jasiek, wychowany w lasach, znał się z nimi dobrze i nie bał się ich dawniej, ale teraz, na pół żywy, patrzył z przerażeniem na olbrzymie majaki drzew. Z wolna dusza napelniła mu się grozą, pełną zamętu nieopowiedzianego i cichości okropnej.

Lęk pełen rozpaczyci ścisnął mu serce takim bólem, że umierał, siedział bez ruchu, bał się poruszyć powiekami, bał się zmienić kierunek spojrzenia, bał się szepnąć to zbawcze imię: Jezus. Bo czuł strach i tajemnice dokoła, czuł, że ta ciemnota straszna przenika przez niego, zalewa mu duszę, niszczy ją... A ten bór ciągle coś mówił z sobą... jęczał... czasem krzychał żałośnie... pochylał się nad nim... patrzył jakby... prostował się groźnie... pochylał się znów niżej... niżej... tak nisko... że czuł jakiś lodowaty oddech na twarzy... czuł, że gałęzie ostre dębów, gałęzie podobne do szponów poskręcanych wyciągają się ku niemu z ciemności... że szukają go... że go zaraz rozerwą pomiędzy siebie...

Wtedy ze straszonym, niemyym krzykiem trwogi zapadał w omdlenie. I rozpalony gorączką mózg snuł rozprężone, porwane obrazy wspomnień więzienia... Wlókł się więziennym korytarzem... Tak, to więzienie z powrotem. Oglądał się i widział szeregi głów postrzyżonych, pochylonych nad warsztatami, które klekotały nieustannie.

<sup>70</sup>fara (daw.; z niem. *Pfarrei*) — parafia. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>całej parady (pot., iron.) — całej, już skończonej sprawy. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>centr — dziś popr.: centrum. [przypis edytorski]



— Jasiak! Jasiak! — Drgnął, któryś go wołał cicho, ale nie mógł poznać, który, bo wszyscy, z obawy przed strażnikami stojącymi przy drzwiach, trzymali głowy nisko. Nie, musiał się przesłyszeć.

Zapatrzył się przez szerokie okno na czubki drzew... na nieobjęty obszar nieba... na dalekie, dalekie kontury wzgórz... Drgnął znów... A to dzwon na obiad! Dzwon na kolację, dzwon na spoczynek!... Szczęk kajdan... Ostre twarze dozorców z błyszczącymi bagnetami... Drżał na ich widok... Komenda jakaś... nie dosłyszał...

Ach! A te noce, te straszne noce w ogromnej sali dawnego refektarza<sup>73</sup>... te noce, w które przychodziła tęsknota i wysysała z niego wszystką krew, wszystkie siły, wszystkie lzy... te noce zimowe, mroźne i białe od księżyca, w które nie mogąc spać, modlił się cicho do tych świętych twarzy, tak wyraźnych jeszcze na sklepieniach... Przerwał się logiczny ciąg marzeń. Czuł teraz, że ucieka z więzienia... to czterodniowe tułanie się po lasach, po nocach... karczma przyłętka... dziad... ludzie idący do Brazylii... strażnicy... strzał...

Ocknął się z omdlenia. Bólu nie czuł, tylko było mu strasznie zimno, zawinął się w siebie, przyparł do drzewa i czekał tak świtu, a tęsknota wsadziła mu swój kolczasty łeb do wnętrzości i gryzła niemiłosiernie.

Do domu uciekał... do wsi swojej... do wolności...

To wszystko było tam... tam... za tym lasem, co jak zły obląkał go i odgrodził — tam jest chałupa, matka, życie spokojne i ciche — tam ta ogromna szczęśliwość, którą zrozumiał dopiero za kratami więzienia.

— Tam! tam!... — krzyczała w nim tęsknota tak głośno, tak potężnie, że podniósł się, aby iść... Usiadł z powrotem, bo nie wiedział, gdzie jest, zbłąkał się tą szaloną ucieczką, musiał czekać dnia.

A nie pomyślał nawet przez mgnienie, że i z domu, od matki mogą go zabrać i wtrącić z powrotem do więzienia. Wiedział tylko, że w tej wsi swojej jest jego szczęście, i tam powracał pomimo wszystkich przeszkód. Zdawało mu się, że jak się tam dostanie, wszystkie nędze i utrapienia skończą się na zawsze. Nie czuł się przecież winnym niczego. W więzieniu nie widział karzącego prawa, lecz tylko osobistą a potężną zemstę rządcy, którego trochę dziobnął widłami.

— Dokończę ja cię<sup>74</sup>, ty frybro<sup>75</sup> jangielska, dorychtuję<sup>76</sup> cię, nie bój się!... — myślał nienawistnie, przypominając sobie prześladowcę.

I snuły mu się tysiączne pomysły zemsty, ale nikły co chwila, bo coraz częściej zapadał w drzemkę, bronił się, jak mógł, aż w końcu już przed świtaniem zasnął śmiertelnie. Spał pomimo deszczu, który go przemacał do skóry, i mimo chłodu surowego marcowej nocy; wcisnął się między wystające korzenie dębu, przytulił do olbrzymiego pnia i spał.

Las, jak zwykle przed świtaniem, przycichnął, pochylił się nad śpiącym i stał jakby na czujnej bardzo straży, osłaniając go sobą od deszczu.

Las

Ciemności z wolna rzedyły, bladły... rozjaśniały się.

Po mrokach rozlewała się świtowa szarość.

Las, usypiając, budził ptaki i zwierzęta.

Stado wron wyrwało się cicho spod konarów jodeł olbrzymich; kołowały chwilę wysoko i poszybowały na żer do wiosek.

W lesie było jeszcze ciemno, od wschodu bieląło nieco, przecierał się świt i na tym mętnym jeszcze, widmowym tle brzasku kontury czubów drzew rysowały się jak profile gór; na dole pod drzewami leżał gęsty mrok.

Wiatr ustał zupełnie, drzewa stały cichą, skłębioną masą; opuszczały przemarznięte, przemoczone gałęzie, pochylały konary bezwładnie w jakimś znużeniu ogromnym, zapadały w głęboki sen... przerażający majestat usypiającej potęgi rozlewał się dokoła...

Czasami tylko gałąź jakaś drgała przez sen, otrząsała się z deszczu, podnosiła się ku światom i zapadała w ciche omdlenie...

Czasem tylko pień jakiś olbrzymi, jakby kurczył się w sobie od zimna, drgnął niepochwytnie, rozprostował gałęzie, przechylił się koroną ku dalekiemu jeszcze słońcu — i pograżał się w słodkie odpocznienie.

<sup>73</sup>refektarz — jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>dokończę cię (gw.) — pot.: wykończę cię, zniszczę cię. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>frybra (daw.) — febra, gorączka; tu: wyzwisko. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>rychtować (gw.) — szykować, oporządzać; dorychtuję cię: urządzę cię (pot.). [przypis edytorski]

Czasem tylko jakiś głos przejmujący, coś jakby westchnienie głębokie, jakby jęk śpiącego lasu, jakby krzyk majaczeń sennych — drgał wskroś i przepadał w coraz bielszym świecie...

Tylko niskie, chude, mizerne krze<sup>77</sup> leszczyn, osik, brzoźek i grabin, tulących się do pni olbrzymów śpiących, drżały ledwie dostrzegalnie, jakby z trwogą, tuliły się do siebie i szeptały cicho... drżąc...

Jedne jałowce stały nieruchomo i hardo; pokryte pancerzem twardych, zielonych igieł, po których spływał deszcz, nie cierpiały tyle. Ale gęste, długie pędy malin dzikich, poskręcane chaotycznie, czepiały się kolcami drzew, darły się na kamienie, oplatały mrowiska, jakby uciekały we wszystkie strony z rozpaczą, bo deszcz przenikał ich delikatne pokrycia i po cienkich ciałach spływał wielkimi kroplami aż do korzeni, aż do wnętrzości...

Sosny drgały nerwowo, a świerki stały, jakby bez czucia, okryte potężnym wachlarzem gałęzi.

Szare spojrzenia świtu coraz niżej, coraz głębiej opadały i wyplakany, zielonawym światłem przenikały wskroś lasów.

Las zadrgał pod tym dotknięciem, ale spał jeszcze.

Cizba przeogromna kolumn, niby w pragotyckiej świątyni, zaczynała wylaniać się ze zmroków, majaczyła tłumnie dokoła, a przez konary olbrzymów, niby przez gotyckie okna zasnuwane pajęczyną, przedzierały się brzaski dnia coraz jaśniejsze i różowsze; pelzały po szarych kolumnach drzew, migotały w kroplach deszczu i osuwały się na ziemię, na mchy zrudziałe, na liście zeszlóroczne, na krze drżące i ledwie dostrzegalną jasnością wydobywały na wierzch twarz Jaśka, który spał, przyciśnięty do korzeni dębu.

Trzask rozległ się w ciszy i po chwili z gęstwiny krzaków wynurzyły się ogromne korpusy jeleni; szły ostrożnie, z wyciągniętymi łbami, przystając co chwila i węsząc na wszystkie strony. Poczuly Jaśka, zbiły się w kupę, krótki bek się rozległ, stanęły nieruchomo i obwąchiwały śpiącego... odskoczyły nagle, bo Jasiek coś mówił przez sen, położyły na grzbietach rogi i pomknęły w las.

I z wolna budziło się życie w głębiach leśnych; sroki klóciły się zapamiętałe na mdrzewiach, wisiały przyczepione do giętkich gałązek, bujały się z nimi i tak wciąż a nieustannie krzyczały, że las cały rozbrzmiewał, a przebudzony zając wylazł spod krzaków, stawał słupka, obcierał oczy łapkami i kicał w głąb z całych sił; to lis pomykał chyłkiem, kitę spuścił, nos wystawił, wietrząc na wszystkie strony, i migał jak cień złowrogi, i straszyl, bo ptaki z krzykiem uciekały na drzewa; to znów wiewiórka tańczyła zapamiętałe po szczytach, po gałęziach, po sękach — była wszędzie i nie była nigdzie, tylko jej delikatny szarorudy korpus migotał jak błyskawica wśród drzew, a wysoko, nad lasami ciągnęła ogromna procesja kawek, słychać było łomot skrzydeł i krótkie, przerywane krakania; to sarny szły gromadą do zdroju, który szemrał pomiędzy kamieniami; przemykały się tak cicho wśród drzew, tak delikatnie stąpały, że najmniejszy szelest nie zakłócał ciszy śpiącego lasu, chwiały się tylko lekko gałązki leszczyn, pod którymi się przesuwaly.

Bo las spał jeszcze. Słońce już było na widnokręgu i jego czerwone, zimne promienie ślizgały się po wierzchołkach i rozpryskiwały po szarych pniach, i przesubtelnymi, zaledwie przeczutymi dźwiękami zadzwoniły pod sklepieniami lasów.

Już był dobry dzień, bo już słońce trochę z góry zaglądało do lasu, kiedy Jasiek się obudził. Zerwał się na równe nogi, ale się zatoczył i upadł z powrotem. Nie mógł złapać tchu, tak strasznie kłuło go w piersiach, nie mógł się ruszać, tak bolały go wszystkie kości, tak się czuł chorym, rozbitym i bezsilnym. Próbował czołgać się na czworakach, nie mógł, nie miał sił.

— O Jezu, o Jezu! — szepnął rozpaczliwie.

Łzy mu zalały duszę, łzy mu zalały oczy i jak groch sypały się na szarą, wynędzniałą twarz. Trząsł się cały w tej męce niemocy i opuszczenia.

— Już mi zamrzeć przyjdzie! Już mi tu zamrzeć przyjdzie!... — szeptał z jękiem i taki strach śmierci go przejął, taki lęk i taka rozpaczliwa, okropna tęsknota do ludzi, do swoich, do życia, że wydobył wszystkie siły i poszedł.

<sup>77</sup>kierz (daw., reg.) — krzak; tu lm: krze: krzaki. [przypis edytorski]

Prędko się zorientował, gdzie jest i w którą stronę iść, i chociaż przysiadł co chwila, chociaż czepiał się pni, chociaż padał z niemocy i rozbijał obolałe ciało, podnosił się i włókl dalej.

— Aby ino tutaj nie zamrzeć, aby nie zamrzeć! — szeptał.

A potem, czując, że to klucie się zmniejszyło, bo bok nie bolał go zupełnie, tak był zdrętwiały z zimna, przyśpieszył kroku, zdjął czapkę i na głos cały, spieczonymi ustami i sercem pełnym łez, bólu i bezbrzeżnego oddania, pacierz mówił, żebrał zmiłowania...

Jeszcze przed południem wyszedł na krańce lasów, nad pola, które ogromną, kolistą doliną rozwinęły się wśród lasami pokrytych wzgórz.

— Przyłęk! Jezus Maria! Przyłęk! Jezus! — wykrzykiwał w uniesieniu.

Przykucnął pod drzewem i ogarnął ten Przyłęk rozpalonym spojrzeniem.

— Laboga! Moja wieś! Przyłęk<sup>78</sup>, Przyłęk! — powtarzał tysiąc razy, upajał się tym dźwiękiem, upajał się widokiem, trząsał się, krzyczał jakieś niezrozumiałe słowa, wyciągał ręce do chałup stojących długim rzędem na środku doliny, żarł oczami te szeregi topoli, spośród których wychylały się szczyty słomianych dachów, i te dymy, co się wlekły nad domami, i te drogi błotniste, i te łąki, co leżały z drugiej strony wsi. Obiegał krwawym, przemęczonym a radosnym jak to niebo porankowe spojrzeniem, pełnym słońca i szczęścia, puste, poczerniałe, przemiękłe pola; śniegi leżały po brzdach, wody lśniły po rowach i wygonach jak wypolerowane, stalowe wstęgi; stare, przysiadłe grusze czerniały po miedzach jak zmęczone ptaki. A tam wyżej, na wzgórzu, tuż za wsią błyszczwały w słońcu złote krzyże kościoła, mającżyły podarte mury klasztoru, a tam z boku klasztoru, niżej, nad rzeką, co przepływała koło jego chałupy, roztaczał się park pański i okna dworu błyszczwały jak tarcze polerowane, błyszczwały i stawy w parku, błyszczwały i wody rzeki, lśniły się w ostrym, wesołym świetle słońca, które wisiało na bladym niebie, tuż nad wsią...

— O Jezu! O Jezu! I na mszę dam, ochfiaruję Ci się do Częstochowy! O Mario, Matuchno najdroższa!

Szeptał, przejęty szczęściem nieopowiedzianym i żalnością. I już nic nie pamiętał: ani więzienia, ani kary, ani ucieczki, ani rany, ani przeszłych cierpień, bo miał wieś swoją przed oczami, a w duszy tylko radość szaloną i taką dobroć, tyle łez roztkliwienia, tyle upojenia, że tylko gorącymi ustami i sercem dziękował Bogu, modlił się.

Ale mimo to bał się w dzień przechodzić przez wieś albo i okrążyć ją koło klasztoru, aby się dostać do matki. Musiał poczekać do wieczora, cofnął się do lasu, na łąki leśne, gdzie stały wielkie stogi siana, wkopał się w nie głęboko i tam się doczekał.

Wypogodziło się zupełnie na zachód, brał lekki przymrozek, mgły zimne, szare, rzadkie obsiadały pola, a niebo po zachodzie pokryło się purpurową łuską i jakby zatokami pełnymi krwi, błoto szybko tężało i pod nogami uginało się jak pasy rzemieńne. Ostry zapach mrozu mieszał się z surowym zapachem liści dębowych, gnijących w lesie, a czasem z zapachem dymów ciągnących z mgłami.

Jasiek szedł ku wsi na przelaj, przez pola.

Przystawał co chwila, przysiadł na miedzach, przyczał się pod drzewami i szedł coraz wolniej, przyglądając się każdemu zagonowi.

— Wojtkowa! — szeptał, nachylając się nad ziemią, i dotykał jej palcami.

Nic już nie widział prócz tych pól, tych długich zagonów czarno-zielonych ozimin<sup>79</sup>, popstrzonych gdzieniegdzie brzdami pełnymi śniegów.

Krwawe zorze zachodu przygasły, ale jeszcze paliły się zamatowane w kałużach wody; ścierniska głuche, przemiękłe, wytarte leżały jak łachmany; podorówki<sup>80</sup> jesienne sterczały skibami<sup>81</sup>, pokrywającymi się srebrnym szronem przymrozku; półka koniczyn gdzieniegdzie podobne były do starych, zielonych, przegniłych chust kobiecych.

Ale Jasiek witał to wszystko uniesieniem, skowytym radości.

<sup>78</sup>Przyłęk — Przyłęk Duży: wieś w woj. łódzkim, w pow. brzezińskim, w której mieszkał Reymont w zimie 1890–91. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>ozimina — zboże siane na jesieni. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>podorówka — pole płytko zaorane po jesiennych zbiorach i w ten sposób przygotowane do wiosennej orki. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>skiba — część ziemi odkrojona i odrzucona na bok przez pług. [przypis edytorski]

Był tak samo wyczerpany, jak te pola smutne, tak samo odarty, tak samo nędzny, tak samo smagany przez deszcze, a czuł się tysiąc razy bezbronniejszym, więc z jakąś dziką miłością przypadał do ziemi, dotykał się jej, jakby biorąc od niej siłę, mocy, wytrwania... jakby się jej oddając w niewolę... Że mroczniej było, więc coraz niżej pochylał się nad zagonami.

— Michałowe! Pszenica, cie! — mruknął zdumiony, rozpoznając źdźbła.

Mrok zapadał prędko, zorze zbladły zupełnie i zsiniały, niebo pokrywało się już rosą gwiazd, powietrze było czyste, mgły zniknęły, bo mróz brał dobry — tylko lasy w tym czystym powietrzu wydawały się bliżej, otaczały całą dolinę czarną, wysoką ramą.

Wieś była już o parę staján<sup>82</sup>. Jasiak szedł teraz przez kapuśniska poprzeryzane głębokimi bruzdami pełnymi śniegów, przez bagniste łączki zalane wodą, pod którą był jeszcze twardy lód.

Wieś już było słychać, owce beczały... to rozlegało się beczenie cieląt, konie gdzieś rżały, skrzypiały wierzaje. Poczł w nozdrzach zapach dymów. Gdzieniedzie wśród lasów, zabudowań i opłotków zamigotało światelko... piosenka zadźwięczała w powietrzu... ale ją zagłuszył turkot wozu, który galopem jechał przez wieś. Gęsi na jakimś podwórzu gęgały zawzięcie. Ktoś krzyczał na całe gardło:

— Pietrek! Pietrek!...

Ten głos uderzył go jak obuchem, aż się zachwiał.

Szedł wzdłuż wsi, tyłami, drózką, co biegła za stodołami.

Matka mieszkała w drugim końcu, za rzeką, pod wzgórzem, na którym stał klasztor.

— Poszycie dał nowe! — szepnął do siebie, przyglądając się jakiejś chałupie.

— Wawrzon się spali! — Przystawał chwilę i ze współczuciem patrzył na czarny komin, sterczący wśród spalonego sadu.

— Cie! nową chałupę sołtys se postawił. Z cudzej krzywdy! — dodał po chwili, idąc dalej.

Im był bliżej domu, tym wolniej szedł i ciężej, bo i bok zaczął go boleć, i ten gwar wsi go rozdrażniał, i radość go tak przejmowała, że każda kosteczka trzęsła mu się nerwowo. Byłby się rzucił na ziemię i całował ją z uniesieniem, byłby klękał przed każdą chałupą, przed każdym sadem, przed każdą stodołą i byłby się modlił do każdego kamienia, do tych topól, co stały nad domami, do tych światel w oknach, do gwarów, do tej wsi całej, drogiej... kochanej... rodzonej... Ale już nie miał siły, to szczęście go wyczerpało do cna, włókl się jak umierający, nieprzytomny, a tylko resztkami życia, resztkami siły, aby się ino dowlec do chaty... aby się ino dowlec do progu i choćby tam zaraz zamrzeć.

— O Jezus! O Maria! — szeptał i już nie wiedział, jak, nie wiedział, kiedy, dowlókl się pod chałupę matki, nie mógł już drzwi otworzyć, tylko upadł przed progiem i wybuchnął strasznym płaczem...

### III

Kiedy ranne wstają zorze —

Tobie ziemia, Tobie morze,

Tobie śpiewa żywioł wszelki:

Bądź pochwalon, Boże Wielki!<sup>83</sup>

Jasiak uniósł głowę na pościeli i słuchał uważnie, głos szedł z niedaleka, jakby zza drzwi. Obejrzał się, ale nic nie dojrzał, tylko przez szybkę maleńką, wsadzoną w ścianę, przeciskał się świt i rozkrzązał słaby brzask. Opadł na łóżko; nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał.

Tobie śpiewa żywioł wszelki:

Bądź pochwalon, Boże Wielki!

— Matulu! — szepnął, słuchając tego powtarzania, i leżał tak cicho bez oddechu,

Matka

<sup>82</sup>stajanie a. staje — daw. miara odległości, w różnych okresach i okolicach licząca od ok. 100 do ok. 1000 m. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Kiedy ranne wstają zorze (...) — fragment *Pieśni porannej*, popularnej pieśni religijnej Franciszka Karpińskiego. [przypis edytorski]

z oczami wlepionymi w ciemność, zasluchany, powtarzał nie głosem, lecz ruchem warg ten śpiew i lzy wolno spływały mu po twarzy, lzy dziwnej błogości... Nie słyszał nawet, kiedy śpiew się skończył ani że drzwi skrzypnęły.

— Lepiej ci, synu, co? — zaszemrał jakiś głos nad nim.

— Matulu! Matulu! — wyszeptał, chwycił rękę głaszczącą go po twarzy i trwał tak w tej niemocy, pełnej łez szczęścia.

Stara gładziła tylko z wielką miłością jego włosy spocone i twarz:

— Cichoj, synu... cichoj, robaku<sup>84</sup>... cichoj...

Nie mogła mówić więcej ze wzruszenia i skoro tylko Jasiek zasnął, okryła go troskliwie i powróciła do izby. Wyjrzała przez okno, wyszła przed dom popatrzeć na ciemną jeszcze drogę i powróciła, siadła na stołeczku przed ogniem i raz w raz<sup>85</sup> dorzucała na komin suchego chrustu. Na trzonie<sup>86</sup> obstawionym garnkami buzował się wielki ogień i rzucał złocisty blask na całą izbę, na wybielone czysto ściany, na których czerniały rzędy obrazów świętych, i na suchy, czarny szkielet warsztatu tkackiego, stojącego pod oknem od wschodu i obmotanego nićmi niby pajęczyną.

Tekla, komornica<sup>87</sup> Winciorkowej, siedziała na ziemi przed kominem i skrobała kartofle, mrużąc półgłosem pacierz, a łaciaty, duży pies leżał na środku izby i przez sen warczał na tłustego prosiaka, który laził po wszystkich kątach i co chwila wsadzał krótki ryj to w garnki stojące na ziemi pod piecem, to porywał Tekli kartofle z koszyka, to pokwikiwał i drażnił się z psem.

— Cicho gadziny, o! — wykrzykiwała raz w raz Tekla. A poza tym cicho było zupełnie w całej chałupie. Ogień trzaskał wesoło i głośno perkotała gotująca się w garnku woda.

— Kury<sup>88</sup> pieją, niechybnie będzie odmiana! — mruknęła Tekla.

Jakoż istotnie koguty piał jeden po drugim na całej wsi.

Winciorkowa nie odezwała się, bo szła zajrzeć do alkierza, ale że jakieś trepy<sup>89</sup> zadudniały<sup>90</sup> na stwardniałym błocie przed chałupą, usiadła z powrotem. Z trzaskiem, w obłokach pary, wbiegła smągła, młoda dziewczyna, okryta na głowę<sup>91</sup> w zapaskę<sup>92</sup>; pochwaliła Boga i przygrzewała ręce przy ogniu.

— Winciorkowo, a to pożyczcie namo<sup>93</sup> bochenek chleba. Jutro pieczemy, to wam odnieść. Chłopaki jadą z drzewem do tartaku, a tu już ani skibki<sup>94</sup> nie ma — gadała prędko.

— Które chłopaki jadą? — zapytała Tekla.

— A kto by! Walek i Michał!

— Ociec ostają?

— A juści, chciałoby mu się!... Pedają, co muszą iść do kancelarii... ale ino tak cyganią, bo im się chce pod pierzyną wylegiwać...

Przysiadła na trzonie komina, opuściła zapaskę na plecy i pytlowała<sup>95</sup>:

— Wiecie?...

— Niby?...

— Martyna pobila się z Grzelową...

— Jezus mój kochany! Pobily się! Martyna z Grzelową! — wykrzykiwała Tekla.

<sup>84</sup>robak (przestarz.) — maleństwo, małe dziecko. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>raz w raz — raz po raz, raz za razem. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>trzon — górna część pieca kuchennego, na której było gotowane jedzenie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>komornica — chłopka nie mająca własnej chałupy ani ziemi, płacąca pracą za mieszkanie w komorze (daw.: izbie, pomieszczeniu) domu innego, bogatszego chłopca a. właściciela ziemskiego. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>kury — tu: Im od: *kur*, daw. kogut. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>trepy — prymitywne obuwie o drewnianej podeszwie. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>zadudniały — dziś popr.: zadudniły. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>okryta na głowę w zapaskę — dziś popr.: z głową okryta zapaską. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>zapaska — fartuch noszony dawniej przez wiejskie kobiety, wiązany w pasie na sukience i osłaniający ubranie od pasa w dół dookoła, czasem narzucany na ramiona jako pelerynka, rzadziej wiązany na głowie jako nakrycie. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>namo (gw.) — nam. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>skibka — odkrojony kawałek chleba, kromka. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>pytlować (pot.) — paplać, mówić dużo i szybko. [przypis edytorski]

— A juści, zaraz na odwieczeru<sup>96</sup>. Martyna pedziała<sup>97</sup>, co Grzelowa oddajała jej krowy. A Grzelowa pedziała: „Samaś złodziej i śwynia”. A Martyna ją trzaśła przęślicą<sup>98</sup> bez łeb, a Grzelowa chyciła za kijankę<sup>99</sup>, a Martyna ją za kudły!... Zbiły się jak nieboskie stworzenia, jaże je chłopcy musiały rozdzierać<sup>100</sup>... Pójdą do sądu i pedziały, co mnie stawiają na świadka.

— Trza<sup>101</sup> ci sprawiedliwie świadczyć przed sądem — odezwała się Winciorkowa.

— Przecie, co krzywda, to krzywda. Ano Martyna ma na łbie guz kiej bułka, a Grzelowa ma pysk rozcięty i ślipie podbite. Sprawiedliwie będę świadkowała.

— ...Przęślicą, a Grzelowa ją kijanką! Jezus mój słodki! Pedaj, dzieucho, jak to było?...

— Dzieciak wam ano<sup>102</sup> krzyczy! — zwróciła Tekli uwagę dziewczyna.

— Będzie mu na zdrowie, niech se ta popiuka!...

Przyciszyło się po wyjściu dziewczyny i płacz dziecka rozległ się wyraźniej, płynął on z drugiej strony chałupy, ale Tekla nie zwracała na to uwagi, plukała kartofle energicznie i namiętnie wykrzykiwała, prostując co chwila długą, chudą postać:

— Chleba im zapowietrzonym potrzeba! Bidaki! aże pożyczają!... Gospodarze parszywe, ścierwy... A jakby biednemu było potrza, to może zdychać pode płotem — nikt mu kapki wody nie poda! Żebyśta skapiały<sup>103</sup> wszystkie jak te psy... Chleb ich rozsada, to się tłuką kijankami i przęślicami. Da wam Pan Jezus jeszcze radę, da...

— Pleciecie trzy po trzy, ot, co! — szepnęła Winciorkowa.

— A juści! ja pletę! A bo to mój nie mógł teraz spać pod pierzyną abo i jechać z drzewem, zarobić parę złotych, nie mógł to, co? Wszystkie se siedzą po chałupach, a mój to co? gdzie?

— Siedziały i on, a po co dworskie konie wydał złodziejom...

— Wydał! przecie, że wydał! Abom to mało na niego dunderowała<sup>104</sup>! Ale co miał zrobić biedny sierota?... Gospodarski syn, powinien był siedzieć na groncie, na półwólczku<sup>105</sup> co najmniej... a służyć musiał. Skrzywdziły go te piekielniki! A kto go namówił do złego? Braciszki zapowietrzone chciały się go pozbyć, aby procesu nie wygrał... A teraz wszystkie psy szczekają: Tomek złodziej... złodziej! A ścierwy! A psy! — wołała namiętnie, z wielkiej żalości aż ryknęła płaczem.

Nie mówiły już, dziecko płakało coraz ciszej.

Za oknami po grudzie dudniło kilka wozów i ludzkie głosy brzmiały na mrozie.

— Powiedają we wsi, że za wodą siedzą dwie złodziejki! Ale niech im tego Pan Jezus nie pamięta — szepnęła łzawo Winciorkowa.

Tekla, która wyszła na chwilę, powróciła z dzieckiem, usiadła przy kominie, wsadziła mu w usta chudą, obwiśniętą pierś i rzekła:

— Po połowie jest ino sprawiedliwo... bo przecie wasz Jasiak nie krał...

— A na trzy roki wsadziły go do kreminału... — szepnęła cicho.

— Bo sprawiedliwości na świecie nie ma, nie było i nie będzie!

— Przyjdzie Pan Jezus, przyjdzie, a uczyni wszystkim sprawiedliwo<sup>106</sup>...

— Hale! Czekaj tatka latka, jak kobyłkę wilcy zjedzą...

— Nie gadajcie tak... to grzech... Pana Jezusowa sprawiedliwość, to nie ludzka...

Siadły do śniadania w milczeniu, ogień przygasł nie podsycany, bo już świt rozsińił szyby i wlewał się do izby różowym brzaskiem.

A potem Winciorkowa zabrała się do roboty i wolno, automatycznie tkala na warsztacie jaskrawy wełniak.

<sup>96</sup>odwieczarz a. odwieczrze (gw.) — popołudnie, pora przed wieczorem. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>pedziała (gw.) — powiedziała. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>przęślica — drążek do zamocowania kądzieli, czyli pęku włókien lnianych, konopnych lub wełnianych, z którego prządka wysnuwała pasma i skręcała w nić. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>kijanka — tu: deseczka służąca do prania w rzece, używana daw. na wsi. Kijanką uderzało się bielizną, w bieżącej wodzie rzeki wypłukując brud. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>rozdziarać (gw.) — rozdzielać. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>trza (gw.) — trzeba. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>ano — oto; właśnie. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>skapieć (daw.) — umrzeć. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>dunderować (gw.) — zrzędzić, łajać. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>półwólczek — pole o powierzchni pół włóki, tj. liczące ok. 9 ha; włóka: daw. jednostka miary powierzchni gruntu, równa 30 morgom, tj. wynosząca ok. 18 ha. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>sprawiedliwo (gw.) — sprawiedliwie. [przypis edytorski]



Słońce podniosło czerwoną głowę zza lasów i pokryło oszroniałą ziemię i drzewa takimi blaskami skrzeń, że oczy bolały patrzeć.

Winciorek pochyliła głowę, przymrużała oczy od światła, ale nie przestawała robić; różowy blask poranku pokrył jej chudą twarz, pełną śladów cierpienia; siwe kosmyki włosów wymykały się spod czerwonej chustki, którą miała nad żółtym, pomarszczonym czołem. Wpadnięte, sinawe usta poruszały się nerwowo, w takt każdego ruchu ręki pociągającej za płochę<sup>107</sup>. Czółenko<sup>108</sup>, wciąż zmieniane, bo tkala różnymi kolorami, ze świstem przewijało się wskroś gąszczu szarych, lnianych nici wątku. Pochylała się automatycznie, warsztat sucho klekotał, pracowała zawzięcie, czasami tylko przystawała na chwilę, opierała głowę na ramię warsztatu i nad słuchiwała odgłosów z alkierza lub medytowała gorzko.

— Miły Jezu! Panienko Przenajświętsza! Trzydzieści roków było tak samo! tak samo! — przypominała sobie gorzkością nieopowiedzianą i choć jej ręce zajęte były robotą, oczyma zaglądała w przeszłość dawną, tak bolesną, że dusza się jej kurczyła i oczy zachodziły mgłą łez. Trzydzieści roków temu chłop jej z młodszym dziedzicem poszedł w las<sup>109</sup>!... Poszedł, bo strzelec był dobry jako i Jasiak... Zatrzęsa się na to wspomnienie wyjścia, a te przypomnienia niepokoju, szukania go po lasach... trwóg nieopowiedzianych... tak żywo wstały w jej duszy, że oparła głowę o płochę i zapatrzyła się bezmyślnie przez okno; oczy jej leciały od wzgórz pokrytych lasami, po runiach<sup>110</sup> osrebrzonych szronem zbóż, po zamrożonych kałużach, po tym całym świecie różowym od słońca, jasnym i cichym... I tak dobrze pamiętała przeszłość, tak pamiętała... Drgnęła nagle, trzask jakichś wystrzałów zbudził się w jej duszy! Tak samo było to na wiosnę, tak samo roztopiły we dnie, a przymrozki w nocy. W taki sam poranek przynieśli go jej prawie nieżywego... Pamięta jeszcze te pokrwawione jego szmaty!... W tym samym alkierzu chowała go i broniła przed śmiercią... i obroniła... I na co! O Jezu, o Jezu mój słodki!... lzy pociekły po tej twarzy... Pognali go w tyły świat, że go już nigdy nie widziała... I zmarł potem, i pochowali go — pewnie nie na poświęconej ziemi!... Taki ból ją zaszarpał, że spłótła ręce i zapłakane oczy podniosła do świętych obrazów, i modliła się gorąco, błagalnie... ale uczucia i świadomość tak się jej splątały, że zaczęła modlić się za męża, a modliła się o zdrowie dla syna... Poszła potem do komory, zajrzeć do niego.

Na tapczanie okrytym poduszkami i pierzyną leżał Jasiak.

Przez maleńką szybkę padało nieco światła do wnętrza i mrocznym blaskiem pokrywało twarz chorego. A Jasiak był śmiertelnie chory. Ucieczka, rana, przeziębienie, strach, wszystko to zważyło go z nóg zupełnie, że ledwie zapał. Matka nie traciła nadziei. Leczyła go, jak mogła i umiała, broniła go od śmierci miłością i rozpaczą, a że przy tym to leczenie i pobyt jego trzeba było ukrywać, więc się zacięła w sobie, wzmagała w siły, ale broniła; walczyła z chorobą, ze wsią, tak zwykle ciekawą, ze strachem wiszącym wciąż nad nimi... Wzięli już jej męża i tyle dobra, i tyle łez, że tego jedynaka kochanego nie odda... choćby własnym życiem zapłacić przyszło... nie odda...

— Jasiak! synu! — szeptała cicho, pochylając się nad nim.

Jasiak otworzył nieprzytomne oczy, coś jak uśmiech pełen słodczy przemknął się po spalonych gorączką ustach i znów zapadł w senność.

Poobtykała go pierzyną, ułożyła mu wygodniej nieprzytomną głowę i zasłoniwszy szybkę, ażeby go światło nie drażniło, powróciła do roboty.

Ale nie mogła robić, drżały jej ręce i psuło się jej wszystko, to znów brakowało kolorowej wełny w czółenkach, więc zaczęła chodzić koło gospodarstwa i obrządzać. Niewiele tego było: sześć morgów<sup>111</sup> pola, stodołka, obórka, chlewik sklecony z desek, dwie krowy, maciora z prosiętami wczesnymi, kilka gęsi, które się już nieść zaczynały, kilkanaście

<sup>107</sup>płoch — część warsztatu tkackiego, rodzaj grzebienia, przez który przewleczone są nitki osnowy, dobijający każdy wprowadzony wątek do krawędzi tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>czółenko — element krosna tkackiego o kształcie łódeczki, zawierający nawiniętą na szpulkę nitkę wątku, przerzucany pomiędzy nitkami osnowy. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>trzydzieści roków temu... poszedł w las — aluzja do powstania styczniowego w 1863. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>runie — lm od: runi: nisko rosnąca, zieleniejąca roślinność; młode pędy, kielkujące z ziemi. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>morga a. mórg — daw. jednostka miary powierzchni, pierwotnie oznaczała powierzchnię, którą jeden człowiek mógł zorać lub skosić jednym zaprzęgiem w ciągu jednego dnia pracy; na ziemiach polskich ok. 0,5–0,6 hektara. [przypis edytorski]

kur i kaczek — to całe bogactwo. Ale wszędzie panował wzorowy porządek, znać było pracę i starania ciągle.

Winciorkowa właśnie karmiła gęsi przed progiem, gdy na mostku zadudniały kroki, podniosła oczy i przez nagie drzewa rosnące przed domem zobaczyła kobietę, prędko idącą ku niej.

— Winciorkowo! — wołała tamta jeszcze z daleka przez kamienny płot — Winciorkowo, a bieście<sup>112</sup> no duchem<sup>113</sup> do Sułków, bo Magda leda chwila zlegnie... Już od świtu krzyczy ano, nie dadzą się rady bez was... — zawróciła i zniknęła w opłotkach wsi.

A stara, która była i trochę znająca się na chorobach, i babką, i wszystkim po trochu, wróciła śpiesznie do izby, zajrzała do Jaśka, postawiła przy nim na ławce napój jakiś, ogarnęła się i pobiegła na wieś. Nierada temu była, bo musiała chłopaka zostawić bez żadnej opieki, ale lecieć trza było. Któż ano<sup>114</sup> pomoże kobiecie? Doctory? A juści; sprzedaj krowę chociażby, a i to może mało... A potem... dowie się co na wsi... czy czasem już nie mówią czego o Jaśku... przepyta się coś niecoś...

Przyśpieszyła kroku i przesuwała się prędko wzdłuż kamiennych płotów, obrośniętych krzakami ligustrów<sup>115</sup>, których gałęzie długie niby baty zwisały się do ziemi i miejscami leżały na ścieżce, wdeptane w skrzepłe błoto.

Wieś rozłożyła się po obu stronach drogi, pod strażą olbrzymich topoli, które stały wielką, pochyloną nieco na zachód aleją. Chałupy niskie, o słomianych i o zielonych strzechach, stały gęsto w głębi wąskich ogrodów, poprzedzielane wjazdami. Prawie wszystkie miały bramy wjazdowe na podwórza, na sposób staroświecki, tj. z daszkami, pod którymi złożyły się święte obrazki. Kamienne płoty ciągnęły się wzdłuż rowów głębokich i otaczały szarymi ramami chałupy i ogrody. Szeroka droga pełna była stężałego błota i zmarzniętych kałuż wody; pod kamieniami, w sadach, po rowach leżały jeszcze kupy szerniałego śniegu, w którym grzebały kury. Gwar pogodnego, suchego dnia rozlegał się po wsi. Gromady dzieci boso albo w trepach ślizgały się po rowach i kałużach, a gdzieś niedziedzie, przed domami, to w opłotkach stały kobiety i rozmawiały głośno. Zza domów, to z ogrodów dochodził odgłos rąbania, obróbki drzewa. Tracze<sup>116</sup> w kilku miejscach kiwali się wśród nagich drzew sadów. Wóz czasem zaturkotał albo od pańskich zabudowań z daleka doszedł odgłos mlocarni, krowy ryczały po oborach, jakby czując zbliżającą się wiosnę, a gęsi gromadami uciekały z ogrodzeń i gęgając ciągnęły ku polom. Dzień był prześliczny, słońce świeciło jasno i ciepło, więc i ludzie wychylali się z chałup i grzali pod ścianami.

Winciorkowa przyśpieszyła kroku, witano ją wszędzie życzliwie, ale z pewną rezerwą, bo się jej nieco obawiano, że to, jak mówiono, znająca była: czy która zległa, czy jak się komu kołtun<sup>117</sup> zwił, czy nawet wedle<sup>118</sup> chorego bydłęcia, albo niech się dziecko posunęło, albo kiej kto był pogryziony przez zepsutego psa — doctorka była rzetelna. A mówili po cichu, że miała złe oczy, bo jak na chłopca Jędrkowego spojrzeła za te gruszki, co jej oberwał, to bez całą zimę go ciągiem<sup>119</sup> łamało po kościach; że mleko umiała odmawiać, że... ale tego dość było, dość. Ale że z księdzem była w zgodzie i kościelne szmatki pierała, że do bractwa należała, a jak się komu pomarło, to już nikt lepiej nie umiał od niej czy modłów, czy śpiewania, czy wypominków<sup>120</sup> przy żalobnym chlebie — więc nikt jej nie powiedział marnego słowa. Bo przy tym i cicha kobieta była, spokojna, pracowita, pobożna. Rano przede dniem czy na odwieczrzezu to zawdy<sup>121</sup> słyhać było w jej chałupie pobożne śpiewania, a co już gruntu, to i najlepszy gospodarz nie obrabiał lepiej.

— Mądra kobieta — mawiali o niej starzy chłopci.

— Kiej mruk, a patrzy na ludzi, że i dziedziczka nie lepiej potrafi.

— A bo to ciągiem na plebanii siedzi, to się spanoszyla.

<sup>112</sup>bieście (daw.) — biegnijcie. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>duchem (daw.) — szybko, co tchu. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>ano — tu: zatem, więc. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>ligustr — rodzaj krzewu sadzonego w charakterze żywopłotu. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>tracz — robotnik zajmujący się pilowaniem kłód drzewa za pomocą ręcznej piły. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>kołtun — zbity kłęb splątanych i pozlepianych brudem włosów na głowie. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>wedle (daw., gw.) — co się tyczy czegoś, w związku z czymś. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>ciągiem (gw.,pot.) — ciągle, bez przerwy. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>wypominki — modlitwy za dusze zmarłych osób. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>zawdy (gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

— Taka mądra, taka pani, a chłopak siedzi w kreminalu.  
— Żebyś tak widłami rządę przejechał po ziebrach, siedziałbyś ty jeszcze głębiej.  
Tak sobie nieraz naród mawiał o niej; wiedziała o tym i uśmiechała się pobłaźliwie.  
— Na to kuźden ma swój rozum, ażeby po swojemu kalkulował — odpowiedziała raz Tekli, gdy jej ta donosiła, co mówią o niej.

Nic ją to zwykle nie obchodziło, ale teraz, przechodząc przez wieś, gdy posłyszała, że po jej przejściu szepcą, lub gdy ją doszły jakieś głosy z chałup lub drogi, zwalniała kroku i chciwie łowiła słowa, bo się jej wciąż zdawało, że mówią o Jaśku.

Ale nic nie usłyszała i weszła do chałupy Sułków.

W izbie było pełno starszych bab, a pod oknem siedział mąż — młody, tęgi chłop, i strugał bijak od cepów<sup>122</sup>, ale robota mu wylatywała z rąk, bo z sąsiedniego alkierza rozlegał się nieludzki krzyk kobiety rodzącej; nie mógł usiedzieć na miejscu, co chwila podchodził do drzwi alkierza i chciał wejść do środka, ale że mu Winciorkowa nie dała, laził z kąta w kąt izby, a że chłop był czujny<sup>123</sup> wielce, więc ino kapotą raz po raz obcierał zroszone czoło i oczy. A baby, rozsiadłe przy kominie, gdzie się już gotował krupnik, pokpiwały z jego cierpienia i niepokoju.

— Nie bój się, Walek, Magdzie nic nie będzie. To ino pierwszy dzieciak, to jakby nowy garnek zbił, a potem się wezwyczai.

— Ja ano dziesięcioro miałam i jakby orzech zgryzł!

— Walek, trza ci ją było wyręczyć, kiejś taki miętki. Trza ci było nie zaczynać, to nie byłoby teraz krzyku!

— Hale! Wierzcie mu! Chłopskie litowanie, to tyła, co by pies napłakał.

— Cichojsa. Tamta wydziera się do ostatka, a wy ino zęby szczerzycie.

— Do ciebie ano, kobiety teraz jakbyś nie miał, to cię która pod swoją pierzynę puści.

— Dosyć się on nawysypiał pod dziewczusznymi pierzynami, dosyć!

Naraz umilkli wszyscy, bo w alkierzu ucichło raptownie. Walek tam wbiegł, ale po chwili drzwi się otworzyły na rozcież<sup>124</sup> i pokazała się w nich Winciorkowa z czymś okręconym w szmaty.

— Podziękuj Panu Jezusowi, chłopaka masz, Walek.

A Walek był nieprzytomny z radości; wziął dziecko na ręce i pod oknem przyglądał mu się ze zdumieniem.

— Loboga, jaka to pokraka, a toto kiej kociątko abo co! — wołał i nie mógł się napatrzeć na tego człowieczka, który ledwie piskiał niby świeżo wyklute z jaja ptaszę. — Musimy zaraz przepić — wołał, oddając Winciorkowej dziecko.

— Poczekajta, dziecko jest pierwszą osobą, trzeba ją uhonorować!

Wzięła kieliszek z wódką i w trzech miejscach izby odlała z niego po parę kropli, wymawiając uroczyście:

— La Pana Jezusa, la ciebie, la ojców twoich! — Przynęła kieliszek do skurczonych ssawek<sup>125</sup> dziecka, ale że się wnet zachłysnęło nieco i rozkrzyczało, odniosła go matce z resztą wódki.

A Walek wciąż latał do alkierza, całował żonę, przyglądał się chłopakowi i powracał do kum, aby z nimi przepijać dla uciechy. Przynieśli wnetki<sup>126</sup> miodu, a że to był post wielki, to ino przegryzali chlebem a serem, a starymi gomólkami<sup>127</sup>. Dla chorej tylko, że to ksiądz dał dyspensę, gotowali kurę.

Raz w raz ktoś nowy przyszedł, że izba zappełniła się ludźmi i gwarem, aż Winciorkowa musiała przyciszać, bo chora usnęła.

Dobrze już było wszystkim i serdecznie, i po bratersku, gdy wszedł sołtys.

— To bez urzędnika, jucho, dziecko chrzczisz, co? — zawołał od proggu.

— Napijcie się zaraz do mnie, to zgonimy!

<sup>122</sup>cep — narzędzie do ręcznego mlócenia zboża w celu wyłuskania ziaren z kłosów; cep zbudowany był z dwóch połączonych ze sobą przegubem (z rzemienia lub z dwóch ogniw łańcucha) kijów, z których jeden, dłuższy, służył za uchwyt i zwany był *dzierzakiem*, zaś drugi, zwany *bijakiem*, krótszy i wykonany zazwyczaj z twardszego drewna, służył do uderzania w kłosa ułożone na twardym podłożu (klepisku). [przypis edytorski]

<sup>123</sup>czujny (gw.) — wyczulony, wrażliwy. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>na rozcież — dziś: na oścież. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>ssawki — tu: wargi noworodka. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>wnetki (gw.) — wnet, zaraz, niebawem. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>gomółka — bryła sera uformowana w owalny kształt. [przypis edytorski]

— Ho, ho! Sołtys jest ścisły we wszystkim, przegoni i w kieliszkach.  
 — Cie! Mówili, że Maćkowej chłop wybił wszystkie zęby, a una ma jeden...  
 — Ino me nie ruchaj!<sup>128</sup>! Widzisz go! — wrzasnęła spostponowana<sup>129</sup>.  
 — Kto by was tam ruchał, cheba<sup>130</sup> kijaszkiem, a i to trza zdrowego.  
 Ale że Maćkowa miała już w głowie, dalejże do niego z pięciami:  
 — Widzisz tego! Będzie tu wydziwiał<sup>131</sup> na gospodynię, obieżyświat jeden, żydowski parobek, że w kieliszki zadzwonili, to go już, juchę, macie...  
 — Urzędnik jezdem! Miarkuj się, kobieto! — zawołał z powagą, prostując się dumnie.  
 Ale to nie zaimponowało Maćkowej: powiedziała bardzo brzydkie słowo, co to ano sobie robi z takich urzędników, przepiła raz jeszcze do Winciorkowej, wzięła kawałek sera dla wnuczek i poszła.  
 Sołtys tylko splunął za nią i z wielką gorącością wziął się do wódki.  
 — Chłopaka masz, Walek, dobrze... Urzędnik jezdem, wiedzieć o tym powinienem...  
 Beze mnie toby jego wcale nie było...  
 — Kiedy on już jest! — zauważyła jedna kobieta.  
 — Staracie<sup>132</sup>, Marcinowo, a Pan Jezus nie zdążył wamo jeszcze dać rozumu. Jest, pedacie — a gdzie? W kołysce, to jakby go wcale nie było, to tego chudziaczka całkiem nie ma, bo ino się tak nazywa, że jest. Urzędnik wam to mówi, miarkujcie ino... a zaraz wam to wyłożę: Czyj ten dąbek w boru<sup>133</sup>? Kto jego rodził, w jaki tabeli<sup>134</sup> on jest, pod jakim numerem zapisany, w jakiej książce stoi, wiele ma gruntu, kiej był czy kiedy ma stawać do wojska, jakiej religii, z krześcijanów on? co?  
 — No jakże, w głowie się wamo pomieszało, sołtysie, co to ma do dziecka.  
 — A ma, bo chłopak Walków teraz, to jak ten dąbek, co go se człowiek ino pomyśli, a jego ni ma, ale kiej go urzędnik zapisze w książki, kiej on będzie stojał w tabeli, kiej się go opisze, kiej się mentryki zrobi, kiej go wciągną w wykaz i posła do urzędu, to dopiero wtenczas chłopak będzie rzetelnie. Urzędnik to wam mówi, miarkujta.  
 Gadał jeszcze długo, ale nie słuchano go, bo ktoś zaczął mówić o tych, którzy tydzień temu poszli do Brazylii.  
 — Gadają, co na samą zwiesnę<sup>135</sup> całe wsie pójda...  
 — A wczoraj poszedł Jasiek Adamów.  
 — A z Woli trzech gospodarzy sprzedało grunt i pójda.  
 — Na zatracenie ano idą, pomarnuje się ino naród i tyła.  
 — A nieprawda, gruntu tam dają, co kto weźmie, i na zagospodarowanie też pieniądze.  
 — Hale, ksiądz na ambonie inaczej mówił.  
 — Ksiądz se gada, co mu potrza, a jak ci urzędnik rzekł, to wierz! — zawołał wyniośle, przysiadł na skrzyni, rozpiął kożuch, że to mu już po krupniku ciepło się zrobiło, i dalejze pleść duby smalone o Brazylii, dalejze przedstawiać ją tak, że narodowi aż oczy wylaziły z ukontentowania<sup>136</sup>, aż ślina ciekła do tego dobra.  
 — Judasz, chce on tu kogo sprzedać — mruknęła Winciorkowa, ale że nikt jej nie słuchał, a przy tym pilno było do syna, wysunęła się cichaczem z izby.  
 Zmierzch już gęsty był na świecie.  
 — Niech będzie pochwalony — powiedział ktoś w ciemności.  
 — A, Nastka! Nastusia. Na wieki — odparła z pewnym zakłopotaniem.  
 Szły w milczeniu obok siebie, nie wiedząc, co mówić.  
 — Cóż tam u ciebie słyhać? — zagadnęła Winciorkowa.  
 — Mościewy<sup>137</sup>, a cóż? Nic.  
 Znów milczenie.

Urzędnik

<sup>128</sup>ruchać (daw., gw.) — ruszać. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>spostponować (z łac.) — obrazić, poniżyć. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>cheba (gw.) — chyba. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>wydziwiał — wygadywać, wymyślać. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>staracie — stara jesteście. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>w boru — w borze. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>tabela — tu: tabela w rejestrze. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>zwiesna (gw.) — wiosna. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>ukontentowanie (daw.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>mościewy (daw., gw.) — wyraz oznaczający: moi drodzy, używany jako poufale zwrot do rozmówcy (a rozmówców lub słuchaczy), także jako okrzyk wyrażający emocje, np. zdziwienie, podziw. [przypis edytorski]

— Zwiesny ino patrzyć. Pono na łęgach<sup>138</sup> za klasztorem już chodziły boćki.

— Prawda, samam widziała i aż mi dziw, co tak rychło...

Stara nie miała do niej zawziętości, ale zawsze to przecież przez nią Jasiak uderzył widłami rżącę... nie miała zawziętości, tylko głęboki żal, a Nastka to dobrze czuła, więc i mówić nie śmiała, szła ze spuszczoną głową i raz w raz przysuwała się, aby starej zajrzeć bliżej w oczy. Umyślnie przyleciała ze dworu i czekała na nią przed chałupą Sułków, bo ją trapiły złe sny, chciała się dowiedzieć co o Jaśku, a teraz ust otworzyć nie mogła, cosik ją ścisnęło za grdykę.

— Dziedzice wrócili? — zagadnęła znów stara.

— Wczoraj, ale pono niedługo pojedą za granicę.

— Im ta jeno jeżdżenie w głowie a zabawa...

— Nie mają na to?

— Prawda, prawda...

Nastka wzięła na odwagę<sup>139</sup>, bo cichym, przelawionym głosem zapytała:

— Nic nie wiecie?

— A bo co? — burknęła stara ostro, bo ją strach nagły przejął.

— Bo to, widzicie, bez trzy noce nie spałam, ażeby mi się ciągiem nie śnił...

— Nie turbuj<sup>140</sup> się o niego. Przez ciebie on marnieje, przez ciebie! No, cicho... nie mówię przez złość. Juści, że wiem, coś tego nie chciała, nie płacz — uspokajała ją, posłyszawszy w ciemności cichy płacz dziewczyny. — A przyjdź kiedy do mnie... — rzuciła jej przed rozstaniem.

Nastka popatrzyła na chałupę i płacząc cicho, zginęła na drodze ciągnącej do dworu.

Stara czuła się poruszoną, w izbie nie było Tekli, tylko z drugiej strony dochodził ją monotony głos, jakim usypiała dziecko. Jasiak spał wciąż. Nie obudził się nawet, gdy go jeszcze przyodziewała kożuchem, bo w alkierzu zimno było.

— Winciorkowo! — rozległ się głos w pierwszej izbie.

Ze strachem wypadła z alkierza.

— A to zabaczyłam<sup>141</sup> powiedzieć, że pani kazała, abyście jutro przyszli, bo będą porządku robili w pokojach — mówiła Nastka.

— Dobrze, przyjdę, dobrze! — szeptala z trwogą i tak patrzyła srogo na dziewczynę, że ta, chociaż miała ochotę posiedzieć, pochwalila Boga i odeszła.

Ale Jasiak się obudził.

— Kto tu był, matko?

— I... dziewczucha Marcinowej...

— A juści, to była Nastka, Nastka! — powiedział mocno.

— Nie bająłbyś, co by tu Nastka robiła...

— Cyganicie, dobrze poznałem po głosie.

— Napij się ano tego likarstwa, to ci będzie lepiej.

Wypił i nawet poczuł pewną ulgę w piersiach. Stara przewinęła mu świeżą szmatką ranę i wysmarowała całe plecy jakąś maścią. Usiłował mówić.

— Cicho, synku, bo jeszcze kto usłyszcy.

— A na wiarę z nim mieszka?

— Kto? Co ci się we głowie troi?!

— Nastka z rżącą... Mówił mi jeden w kreminalu, mówił...

— Ludzie to zawdy, aby ino ocyganić...

— Już ja mu tam przeszkadzać nie będę... nie, ani tej suce słowa marnego nie po wiem... nie... — szeptał z trudem, ale w oczach błysnęło mu co innego, straszna zawziętość i nienawiść.

— Leż cicho, leż... wykuruj się ino... Moje dzieciątko, mój synku najmilszy, jak będziesz zdrowy, to coś się zaradzi, a teraz nie bierz żadnej turbacji do głowy... Pacierz se mów do Przemienienia Pańskiego.

Do okna od drogi ktoś zaczął mocno stukać.

— A słowo ciałem się stało! — zawołała, wybiegając z alkierza.

<sup>138</sup>łęg — podmokła łąka. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>wziąć na odwagę — dziś popr.: wziąć się na odwagę, zdobyć się na odwagę. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>turbować się (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>zabaczyć (gw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

— Winciorkowa! Przyjdźcie jutro do kancelarii, przyszedł jakiś papier o Jašku! — krzyczał przez szyby stójka<sup>142</sup> gminny.

Pomimo że drzwi były przywarte do alkierza, Jasiak usłyszał, a gdy stara powróciła do niego, stał w koszuli i śpiesznie, gorączkowo, nieprzytomnie odziewał się.

— Nie pójdę do kreminu, zabijcie, matulu, a nie pójdę... — wołał w gorączce.

— Jasiak! Jasiak! — ryknęła z rozpaczą i rzuciła się na niego jak wilczyca, bronił się, ale prędko uległ jej sile.

Ułożyła go na łóżku i długo musiała przy nim siedzieć, bo się zrywał, krzyczał, chciał uciekać... zdawało mu się, że go gonią.

— Nie dajcie mnie, matulu! Nie dajcie mnie... — i cisnął się do matki, obejmował ją za szyję, a lzy palące ciekły mu strumieniem po twarzy, drżał cały... majaczył nieprzytomnie, aż dała mu jakiegoś leku, że wpadł w kamienny sen.

#### IV

Jak jej ta długa noc zeszała? Nic nie wiedziała prócz tego, że ją łamała nieopowiedziana męka. Świt już rozbielił mieszkanie, a ona wciąż siedziała skulona przed dawno wygasłym kominem. Co pewien czas podnosiła się automatycznie, patrzyła przez okno i szła zajrzeć do chłopaka śpiącego, i znów siadała. Łzy błyskały w jej siwych, przekrwawionych oczach, ale nie miały siły płynąć, więc zastęgały na rzęsach i powłóczyły źrenice jakby szkłem matowym.

— Jezus mój! Jezus! — szeptała chwilami.

Nie opowiedzieć<sup>143</sup>, co przeżyła w tę noc długą, ile trwóg wyło w jej duszy, ile bólów szarpało jej sercem, ile burz, buntów i rozpaczy trzęsło nią, jaki krzyk niemocy ją rozrywał! — nie opowiedzieć!

Czuła, że jest bez ratunku zgubiona.

Wzywali ją do kancelarii! Mieli jakiś papier o Jašku!

— Jezus! Jezus! — jęczała. — Już wiedzą, że uciekł... szukają go... i wezmą!... Nie... nie... — wyła w niej matka. — Nie dam... to mój, to syn... to krew moja... to moje lzy... nie dam...

Rozpacz

I znów spadała w głęb trwóg, słabości, rozpaczy, w stromą głęb niemocy, i znów lzy szklily oczy krwawe...

Jak go wezmą, to już go nigdy nie zobaczy, nigdy...

O mój Jezus, o mój Jezus, czy to sprawiedliwie, czy to sprawiedliwie!

Jęczała bezsilnie, coraz mniej panując nad sobą.

I za co go ukarali? Że żgnął rządcę widłami! A za co żgnął? Prawy był... bo mu rządcza Nastkę ciągał do stodoły. Bronił ino siebie... I za to na caluśkie trzy lata! A to tyła chłopy sobie lbów naskubią, tyła sobie kulasów naprzetrącają i nic, nie do kreminu... A Jaśka wsadziły. Gdzie jest sprawiedliwość! A tamtemu nic?... Żyje se jak pan i broi, jak broił, bo co która dziewucha chodzi na pańskie<sup>144</sup>, to juści, że potem przynosi małe w zapasce... Obrza boska, a kary na to nijakiej... I kto mu mocny co zrobić?... Kogo się on boi?... Chciał, to i wsadził Jaśka... wsadził... ażebyście... ażebyście!...

Sprawiedliwość

I taka straszna, nieubłagana, dzika nienawiść zawyla w jej duszy, że rozprężyła chude palce i darła zapamiętałe grubą zapaskę.

Wyrwała ją dopiero z tego zapamiętania Tekla.

Jasiak wciąż leżał nieprzytomny.

Nie wiedziała już, co zrobić. Po doktora było daleko, a potem, zobaczyłby i powiedział... ludzie by zobaczyli, a zaraz gadki, a pytania... Nie, nie...

— A jeśli zamrze? — Długo ważyła w sobie pytanie, które kamieniem spadło na jej biedne, zropaczone serce. — A niech zamrze, to i ze mną zaraz będzie koniec, a nie pomogę go wydać, nie... A niechta zamrze!... — myślała ponuro.

Był już duży dzień, gdy się nieco przyoblekła lepiej, wzięła w chustkę mendel<sup>145</sup> jajek i poszła do gminy.

<sup>142</sup>stójka (daw.) — stróż kancelarii gminnej, wykonujący różne polecenia wójta. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>nie opowiedzieć — nie sposób opowiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>chodzić na pańskie — chodzić do pracy na pańskim polu. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>mendel (daw.) — 15 sztuk. [przypis edytorski]



Słońce świeciło wesoło i jakby z radością tarzało się po polach i kałużach drogi, którą szła do kancelarii. Po rowach, pomiędzy kamieniami stokrotki z lubością rozchyłyły różowe rzęsy do słońca; skowronek się gdzieś wyrwał z zimnych jeszcze pól i jak dzwonek świergotał pod czystym błękitem nieba. Ostre a rześwe powietrze owiewało jej twarz zgorączkowaną.

Kancelaria była niezbyt daleko, bo tuż przy kościele w olbrzymim zrujnowanym gmachu poklasztowym, stojącym na wzgórzu, pod którym ciągnęła się wieś długą linią ku lasom stojącym dokoła.

W kancelarii nie było jeszcze pisarza, spał.

Stójka tylko kręcił się po kancelarii, zamiatał, a potem poszedł obrządzać świnie, których natarczywy kwik dochodził z głębi długich korytarzy, porozgradzanych drewnianymi ścianami.

Winciórkowa siadła przed kancelarią na olbrzymich kapitelach<sup>146</sup>, które pozlatywały z frontonu klasztoru, służąc teraz za stolki, i czekała cierpliwie.

Wkrótce nadszedł i wójt, przywitała go i zaraz zaczęła:

— A to wedle tego papieru, co to jest o moim Jaśku, przysłałam.

— Jest ci ta coś niecoś, ale zaczekajcie, jaże pan pisarz wstanie.

— Nie wiecie, co w nim stoi?... — pytała.

— Mówił na dworze nie będę, a potem pisarz jest od tego, coby czytał, zaraz mu każe, to wam powie.

Ratował swoją powagę, bo nic nie wiedział o żadnym papierze.

— Wójcie, zanieście ze mną cebrzyk<sup>147</sup>, bo sam nie uradzę, świnie chcą chlać — proponował stójka.

— Widzisz go! A nieś sobie sam! — oburzył się wójt, ale pojrzał w zasłonięte okna mieszkania pisarza, splunął i poniósł.

— Zawdy usłużyć po sąsiedzku jeden drugiemu powinien — powiedział, powróciwszy, usiadł na kamieniach z powagą i częstował tabaką chłopów, których kilku przyszło za interesami.

— Wójcie! A to pan pisarz mówił, żebyście wóz nasmarowali i rychtowali konia — meldował stójka.

Wójt się opierał, bo widział, że chłopom gęby się już wykrzywiały ze śmiechu.

Ale wnet rozczochrana głowa ukazała się w lufciku i rozległ się głos.

— Wójt! Sam tu!<sup>148</sup> Naszykować wóz, jedziemy do Górek na śledztwo!

— Duchem będzie! Prawda... podwoda<sup>149</sup> urzędowa rzecz, śledztwo tyż! Prawda!...

— Wójcie, a macaliście dzisiaj kury pani pisarzowej? — zakpił któryś z chłopów.

— Stulilbyś pysk, widzisz go!

— Dziecko by też trza przewinać...

— Abo i ten porcelonowy<sup>150</sup> garnek wynieść...

— Buty wyczyścić...

— Paniąkom nosy poobcierać albo co...

Kpili chłopci, ale wójt nie słuchał, narychtował wóz, wytoczył go przed kancelarię i poszedł po swojego konia, do pary z pisarzowym.

— Ogier, nie ogier? Sielny<sup>151</sup> koń!

Zaczęli znów, widząc, jak wójt ciągnie za grzywę swego konia.

— Dobry koń, poczciwości koń. Dasz mu strzechę — zje; dasz żerdź, byle ino nie przeschniętą, też schrupie jaż miło; szmaty z płota ściągnie i zeżre jak kuniczynę. Świniakowi samemu zjeść nie da w korycie, tak ano<sup>152</sup> lubi na spółkę. Sielny koń.

— Koń jak koń, ale urząd jest i parada, że jaż ha!

<sup>146</sup>kapitel (z łac. *caput*: głowa) — głowica, najwyższa część kolumny, łącząca ją z belkowaniem, pełniąca też funkcje dekoracyjne. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>cebrzyk — mały ceber: drewniane naczynie z klepek, podobne do wiadra, najczęściej o dwóch uchach; używane daw. na wsi na wodę. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>sam tu! (daw.) — chodź tu! podejdz! [przypis edytorski]

<sup>149</sup>podwoda — obowiązek dostarczenia przez ludność środka transportu (wozu z zaprzęgiem) na rzecz władz lub wojska (daw. także dworu); również: taki wóz wraz z woźnicą. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>porcelonowy (gw.) — porcelanowy. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>sielny (gw.) — silny, wspaniały. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>ano — oto; właśnie. [przypis edytorski]

— Patrzta, jak to nogi stawia niczym cielna krowa. Ogon to ma jucha jak z paździerzki konopnych, cie, jak zadziera... patrzy se na gospodarza.

— A łeb to ma całkiem podobny do dworskiego pachciarza.

— Moderunek<sup>153</sup> kiej u ślachcica! I tu śnureczek, i tam postroneczek! Portecku mu ino, wójcie, wdziejcie i do Warsiawy na pokaz.

— A ściągły jucha musi być kiej krowa!

I pokpiwali sobie dalej z wójta i z jego konia.

Winciorkowa czekała. Z zamkniętymi oczami, z głową opartą o ścianę siedziała nieruchoma, jakby skamieniała. Nic nie słyszała z rozmów, bo wciąż dźwięczały w niej wczorajsze słowa stójki: „Jest papier o Jaśku”.

Co tam może być w tym papierze? Co jej powie pisarz? Czy oni już wiedzą? Te pytania niby błyskawice bólu i trwogi przerzynały wciąż jej mózg obolały.

Nie widziała, że słońce podnosiło się coraz wyżej i zalewało całą dolinę i wieś, i lasy stojące dokoła, złotawą pożogą. Mróz puszczał i po bruzdach, po rowach, po kałużach błyskały wody, dymy z chałup były prosto niby słupy białawego błękitu, a we wsi, którą z tego wzniesienia widać było jak na dłoni, wypędzano bydło do wody. Nic nie widziała, nic nie słyszała prócz tych głosów trwogi, jakie darły jej serce.

— Winciorkowa, do kancelarii! — zawołał stójka, a zobaczywszy jej węzełek dodał: — Idźcie przez kuchnię.

Poszła wolno, machinalnie, w stary, zrujnowany korytarz klasztorny, w którym grzebały się kury i prosięta.

A w kuchni, olbrzymiej, sklepionej, oświetlonej gotyckimi oknami, na środku stała pani pisarzowa z papierosem w zębach, który zapalała co chwila.

Winciorkowa schyliła się na przywitanie.

— Co powiecie?

— A to... wedle tego papieru... ino mendel jajków, bo jeszcze kury mało niesą... — szepnęła, rozwiązując chustkę i kładąc ją przy jej nogach.

— Świeże, co?

— Parę dni mają.

— U was prośba jest? — pytała, przeglądając równocześnie jajka pod słońce.

— A juści, juści... A to jakiś papier przyszedł o moim synu, tym, co to... co to... siedzi... bo to pani wie... że...

— Idźcie do kancelarii... ja tam zaraz powiem mężowi.

— Bóg zapłać pani! — szepnęła i wyszła.

— Adam! powiedzieć mężowi, że u Winciorkowej jest prośba! — krzyknęła przez drzwi i powróciła, zapaliła papierosa i przeglądała dalej jajka.

Winciorkowa weszła do kancelarii, pochwaliła Boga, a że jej nikt nie odpowiedział, stanęła cicho przy drzwiach i czekała. Pisarz ubierał się dopiero, co chwila ginął w sąsiedniej izbie i powracał z jakąś częścią garderoby, którą wolno naciągał, rozmawiając jednocześnie z chłopami.

Czekała z dobrą godzinę, bo chociaż pisarz się już ubrał, ale zaraz potem poszedł na śniadanie. W kancelarii pozostał tylko młody, piegowaty i rudy chłopak, który usiadł przed piecem i puszczał w ogień bardzo dyskretnie dym z papierosa.

— Panie! — odważyła się przemówić.

— Wam czego?

— A to pono przyszedł papier o moim synu, Jaśku Winciorku.

— Aha, o tym złodzieju, co uciekł z więzienia!

— Mój syn nie złodziej! A tobie, ciarachu<sup>154</sup>, wara gębę sobie nim wycierać! — krzyknęła wielkim głosem, bo ją ta nazwa przeszła jak nożem.

— Nie podnoś, kobieto, głosu, bo pójdziesz na osobność! — zauważył spokojnie chłopak, puszcżając wielkie kłęby dymu.

Już nie rzekła ani słowa, siedziała pod oknem na pół żywa z niecierpliwości, z tego denerwującego oczekiwania.

<sup>153</sup> *moderunek* (daw.) — ekwipunek, wyposażenie, tu: uprzęż. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *ciarach* — pogardl. przezwanie ludowe szlachcica lub mieszczanina; także wobec chłopca ubierającego się po miejsku i udającego człowieka innej klasy społecznej. [przypis edytorski]

— Wy Anna Winciorkowa?  
 — Ja, wielmożny panie... — powstała prędko, bo pisarz pytał.  
 — To wasz syn, Jan Winciorek, był skazany na trzy lata więzienia za pobój<sup>155</sup> i usiłowanie zabicia, ha?  
 — Tak, juści tak, Jasiek mu jest na chrzestne imię, tak wsadziły go na trzy lata, ale to ino przez złość.  
 — Przysłali do mnie uwiadomienie<sup>156</sup>, jako<sup>157</sup> Jan Winciorek uciekł z więzienia tydzień temu.  
 — O Jezu! — jęknęła, zataczając się na ścianę.  
 — I jest poszukiwany. Jeżeliby się do was pokazał, to powinniście go zatrzymać, zawiadomić sołtysa i odstawić do kancelarii.  
 — Moje dziecko rodzone!  
 — Tu o tym nie stoi. Jest tylko, że uciekł taki to i taki, a kto uciekł, musi być złapany, a kto będzie złapany, pójdzie pod sąd i do więzienia. A kto jego będzie przechowywał, pomagał mu uciec, też karany będzie.  
 Skończył i wziął się do roboty.  
 A Winciorkowa, jakby gromem rażona, długo stała, nie mogąc zebrać sił do wyjścia.  
 — Pójdzie pod sąd i do więzienia!  
 — Pójdzie pod sąd... i do więzienia...

## V

Jeno płkanie, jeno żałość, jeno umęczenie duszne chodzi po świecie, a ty, człowieku, cierp, a ty, robaku, baruj się<sup>158</sup> z nimi, a ty, sieroto, oganiaj się, a ty, nieszczęśniku, uciekaj choćby za bory, choćby za morze, a ułapi cię za gardziel, gdziebyś się i nie schował.

O dolo! dolo! dolo!

A ludzie są jak te wody: ani wiedzą, skąd, ani wiedzą, po co, ani wiedzą, dokąd?

A ludzie są jak te chmurki, co je wiaterek żenie<sup>159</sup> to tu, to tam, po całym świecie... jak te listeczki, co je wiaterek drzewom pokradł i wieje nimi na pola, na lasy i rzuca na zatracenie; jak ten dzień, co był wczoraj, a już go ani dzisiaj, ani nigdy nie ma.

I zmiłowania nie ma, i poratunku nie ma, i uciekania nie ma.

I gdzie uciekniesz przed dołą, człowieku-sieroto, gdzie?

Chyba ułapiesz się, biedoto, tych gwiazdów i dufające<sup>160</sup> serce oddasz Panu Jezusowemu miłosierdziu!

O dolo! dolo! dolo!

Tak rozżalała się dusza Winciorkowej, sieroca, smutna dusza matki cierpiącej. A wiaterek huczał na dworze i targał poszyciem chałupy, rozchwiewał drzewami i smagał nimi ściany, pogwizdywał w kominie i niby Zły, cieszący się z nieszczęść ludzkich, chichotał, tańczył po drogach ciemnych, po tej nocy rozdeszczonej, smutnej, strasznej.

— O Jezu! — łkała Winciorkowa i wrzeczono wysuwało się z jej sztywniejących palców, a ze zmęczonych, wypłakanych oczów<sup>161</sup> toczyły się łzy gorzkie po zapadłej, rozbolełej twarzy. Wyschnięta pierś podnosiła się w strasznym łkaniu, a niemoc, straszna niemoc przygniatała jej biedne ramiona do ziemi, do poddania się, do niewoli...

Tekla sama dzisiaj oprzątnęła gospodarstwo i ugotowała kolację, zabrała dziecko z płachty wiszącej u sufitu i poszła spać.

Ani spostrzegła tego stara, zajęta cała myślami i boleścią. Raz w raz zaglądała do chłopaka, który leżał w gorączce, a potem tylko nasłuchiwała wszystkich szmerów, wszystkich świstów, wszystkich głosów nocy... bo się jej strapionemu sercu wydawało co chwila, że już słyszy szcęk pałaszów<sup>162</sup>, że już idą po niego...

<sup>155</sup>pobój — pobicie. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>uwiadomienie — dziś: zawiadomienie, powiadomienie. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>jako (daw., gw.) — tu: że. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>barować się (daw., gw.) — zmagać się z czymś a. kimś, brać się za bary. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>żenąć (daw.) — gnać. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>dufać (daw.) — ufać, wierzyć, pokładać nadzieję. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>oczów — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>pałasz — staropol.: szabla lub dowolna długa broń sieczna; własc.: broń sieczna o długiej, prostej i szerokiej klingie, z rękojścią w stylu szablowym, używana w XVI–XVIII w. przez ciężką jazdę. [przypis edytorski]

Wtedy zrywała się, zasłaniając drzwi do alkierza, i takim strasznym, pełnym rozpaczliwym wzrokiem patrzyła, jakim tylko matka w obronie swego dziecka patrzeć może. Ale nikt jeszcze nie szedł, to tylko noc szła i deptała świat wicherami.

Dobrze już przed północą zapukał ktoś delikatnie do drzwi i wsunęła się przemoczona, zziębnięta Nastka.

— Nie, siadać nie siadę, zaraz muszę wracać. Przyleciałam wam powiedzieć... Jezus, jakim się zatchnęła, że we dworze u państwa mówili... co Jasiak uciekł z więzienia...

— A ty go chcesz wydać, Judaszu! — szepnęła stara.

— Jezus miłosierny! co wy powiadacie! Adyc<sup>163</sup> zlitowania nie macie! Ja bym Jaśka wydała, ja, co bym każdą kosteczkę dała za niego!...

Placz nagły powstrzymał jej mowę, zaciągnęła chustkę na oczy i uciekła, tylko z ciemności słychać było coraz słabiej odgłos jej trepów...

— Nacierp się i ty, najedz się bólenia jak i ja, najedz! — zawołała za nią stara i zaczęła chodzić po izbie i szukać jakiego poratunku.

Ale poratunku nie widziała. Przyjdą, zobaczą go, złapią i pójdzie pod sąd i do więzienia! I już go nigdy nie zobaczy... nigdy...

Głowa zaczęła się jej trząść z nagłego strachu, obtarła fartuchem nos i oczy i chodziła dalej, medytując.

Żeby chociaż wychorzał<sup>164</sup>, toby mu pomogła uciec, sprzedałaby choćby ano i maciorę... choćby nawet i krowę albo i dwie... i pomogła, poszłaby z nim nawet na kraj świata, gdzieby go nikt nie znał, nie więził, nie karał.

Ale gdzie?...

I dusza przed tym pytaniem struchlała jej z trwogi.

Prawda, a gdzie uciekać?

Przecież na całym świecie są sądy, są strażniki, są więzienia!

Chwyciła się za głowę i przysiadła, tak ją przeraziło to odkrycie.

Prawda, są wszędzie... wszędzie... jak te żelaza na wilki... wszędzie...

Była przecież w Częstochowie, to i tam pokazywać musiała papiery; była na Kalwarii, za Krakowem, to i tam tak samo!

Obejrzała się dokoła bezradnie.

I jakby ujrzała wszędzie nieprzebyte mury, szeregi strażników, kancelarie, pisarzy i wyciągnięte do chwytania ręce!

Laboga! I nigdzie, i nikaj<sup>165</sup> nie może człowiek biedny uciekać od tej strasznej mocy, którą teraz dopiero zobaczyła w całej grozie, uosobioną w strażniku i w więzieniu.

Biedactwo, nie rozumiała tego słowa: prawo, i myślała, że to to samo, co — sprawiedliwość!

Nie czekała odpowiedzi na to pytanie, ale natomiast wypełzły z jam zmęczonego mózgu wspomnienia lat dawnych, wspomnienia męża, wspomnienia starych nędz i krzywd starych, które sinymi, wykrzywionymi męką ustami wołały z głębin czasu: Nigdzie... nigdzie...

Zaskowyczała z bólu jak pies kopnięty, przygięła się, okręciła się koło własnej duszy i w skamienieniu zgrozy nieopowiedzianej siedziała przed oknem, zapatrzona w dręczącą ciemność duszy własnej...

I dopiero z tego gorzkiego poczucia niemocy i opuszczenia, z tego poczucia stratomania przez los wstawał w niej z wolna bunt przeciw niesprawiedliwościom, srogi bunt duszy zrozpaczonej a silnej jeszcze.

— Jak to? Jasiak ma być złapanym, sądzonym i oddanym do więzienia, chociaż już dwa roky odsiedział niesprawiedliwie, chociaż niewinowaty?!... A tyła zbójów chodzi wolno po świecie! Oj, choćby ten Jadam Brzostek, o którym wszyscy wiedzieli, że trzyma spółkę ze złodziejami, albo ten Michalak, o tym też wiedzą, że zabił człowieka. A oni chodzą wolno! Dlaczego tak jest? To nie jest sprawiedliwie, nie. Dlaczego tak jest?

I długo snuła te nieskończone „dlaczego”, aż w końcu sen ją zmorzył, że ocknęła się dopiero o świtanie.

<sup>163</sup>adyc (gw.) — zaprawdę; przecież. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>wychorzeć (daw.) — przestać być chorym, wyzdrowieć. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>nikaj (gw.) — nigdzie. [przypis edytorski]

Ale dzień nowy nie przyniósł rozwiązania, przeciwnie, cierpienia jej wzrosły i bunt jej przeradzał się z wolna w nienawiść do świata i wszystkich ludzi wolnych.

Jaśkowi nic nie było lepiej, pomimo że mu raz w raz stawiała bańki na plecach i bokach i aby upuścić mu nieco krwi, przecinała te wzdęte pęcherze dobrze wyostrzonym kozikiem.

A Tekla w południe, przyszedłszy na obiad z pańskiego, szepnęła:

— We dworze już wiedzą... na wsi gadają...

— I co? co?

— Hano co! Rządca powiedział do parobków, że kto Jaśka złapie i dostawi do kancelarii, to dostanie od niego dziesięć rubli i garniec gorzałki...

— A chłopcy?... — wyszeptła starucha.

— Chłopy, jak chłopcy! Moiściewy, a toć dziesięć rubli to karwas<sup>166</sup> grosza! Można by sporą maciorkę za to kupić... — dodała jakby do siebie.

Winciorkowa pilnie badała jej twarz i widząc, z jakim pożądlivym zamyśleniem patrzy na jej prosiaki, zdecydowała się po prędkiej, ale i bolesnej walce na ofiarę.

— Tekla, dam wam tę maciorkę z łatą na boku...

— Ja ta nie żaden judasz! — oburzyła się bardzo szczerze, ale oczy jej błysnęły pożądliwością.

— I... nie miałam tego w głowie, inom sobie dawno kalkulowała, żeby wam dać...

— Niby tak sobie, przez pieniądze...

— A juści, pomagaliście mi tyła i w osnowie<sup>167</sup>, i w przedzeniu, to wam się rzetelnie należy.

— Prawda, ale wy rzetelnie mi ją dajecie?...

— A naprawdę. Maciorka, to możecie się dochować z niej czego...

— I to już całkiem moja świnia, co? — pytała oczarowana.

— Przecie, że wasza...

— Jezus Maria! Rodzona by lepsza nie była — krzyknęła z radości i rzuciła się starą obłapiąc za nogi i całować po rękach, a potem poleciała do chlewa i przygnała ową maciorkę do izby swojej, i tak chodziła koło niej, tak jej podtykała jeść, że chociaż dziecko ryczało w płachcie uwieszanej przy suficie, nie słyszała olśniona szczęściem posiadania własnej maciorki. — Jezus! jakie to śliczności! Loboga, jakie to sprawne a żarte<sup>168</sup>! — wykrzykiwała co chwila.

Winciorkowa, słuchając tego entuzjazmu, uśmiechała się dosyć żałośnie, bo juści, że za Jaśka oddałaby całe życie, ale zawdy... zawdy prosiak wart był z półszosta<sup>169</sup> rubla albo i siedem, bo na wiosnę świnie płacą...

— Ha, trudno! Z czyjego woza zsiadaj i na pół morza! — myślała, idąc zajrzeć do wczorajszej położnicy.

Umyślnie przystawała, sama zaczęła ludzi, gawędziła, aby się coś dowiedzieć, czy na wsi wiedzą, że Jasiiek jest u niej. Ale chłopcy nie dali się złapać, nikt się nie zdradził ani słowem jednym, ani spojrzeniem, że cośkolwiek wiedzą o Jaśku. Gdy wreszcie sama powiedziała o ucieczce jego z więzienia, robili tak szczerze zdziwioną minę, jakby ta wieść, o której już wieść cała mówiła, była im naprawdę nowiną.

— Gramatyki juchy, żaden pary z gęby nie puści! — szepnęła zawiedziona.

— Szmat! szmat! szmat! — jęczał jakiś głos na drodze. — Gospodynie, nie macie czego? nie potrzebujecie czego? — zawołał do niej szmaciarz, niski, chudy Żyd, który człapał środkiem drogi obok starej bryczki, ciągniętej przez szkielet konia.

— Stańcie przed chałupą moją, ja tam zaraz przyjdę.

Poszła do położnicy, a Żyd włócił się wolno, popychał brykę wyładowaną w łachmany, smagał konia i przed każdym domem jęczał:

— Szmat! szmat! szmat!

<sup>166</sup>karwas (gw.) — kawał. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>osnowa — równoległy układ nitek, przez który później przewleka się nitki wątku, tworząc tkaninę. Wykonanie osnowy polegało na równym rozmieszczeniu i naprężeniu pasm nitek zawieszonych na poziomo umocowanej belce i obciążonych na dole; ułożony zestaw nawijano na wał, zakładany następnie do krosien. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>żarty (gw.) — obzerający się, żarłoczny. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>półszosta — półszosta, sześć i pół. [przypis edytorski]

Kiedy niekiedy przystawał i zamieniał za garść lachmanów szpilki, nici, igły, wstążki, gliniane kuraski<sup>170</sup> do gwizdania, a czasem robił i grubsze operacje, na mendel jajek, na ćwiartkę kartofli lub na starą, wypierzoną kurę.

Gromada dzieci na pół nagich gonila go z wraskiem i krzykiem:

— Szmaciarz! Waciarz! Dam ci gros, daj mi kuros!

Ale Żyd nie zwracał uwagi na krzyki, tylko energicznie oganiał się batem od psów, które zajadłe docierały do jego długiej kapoty i napelniały wieś całą szczekaniem.

Krzyczał dalej, w przestankach bijąc konia, bo mu stawał co chwila, ale częściej jeszcze pchał wóz, podpierał go chudym ramieniem, aż mu zaczerwienione oczy na wierzch wylażyły, świstał batem i wołał:

— Wio, wio! gniady!

Końce kapoty, gdy się pochylał przy popychaniu, wlokły się po błocie i tworzyły długą kolej, a czasem, zmęczony, przystawał, opierał się o wóz, zsuwał czapkę na tył głowy, obcierał czoło i dyszał tak ciężko, aż mu się broda ruda trzęsła i oczy napelniały łzami.

Dobrze już pod wieczór dowlókł się do domu Winciorkowej, dał koniowi siana i z batem w garści przyszedł do izby, ale był tak zmęczony, że długo siedział przed kominem, nie mogąc słowa przemówić.

— Zmęczyliście się, co?

— Od rana już tak jadę... a że nic nie jadłem, to mi trochę słabo...

— Napijcie się mleka, to wam dam?

— Bóg zapłać, gospodyni, to ja zaraz przyniesę swój garneczek, to wy mnie w niego udoicie...

Udoiła mu w garneczek, przystawił do ognia, zagotował i wdrobiwszy suchą bulkę, nałożył czapkę i jadł tak łapczywie, że Winciorkowa przyniosła z alkierza trzy jajka i położyła przed nim.

— Zjedzcie i jajka, niech będą na zdrowie...

— Bóg zapłać! — wyszeptał z dziwną wdzięcznością.

Ugotował je sobie, ale zjadł jedno tylko, resztę nieznacznie schował do kieszeni, dla dzieci... A potem, jakby na podziękowanie za jej dobre serce, powiedział cicho:

— Mnie mówiły strażniki o waszym chłopaku, jego szukają!

Winciorkowej ręce opadły od roboty, bezwiednie spojrzała na drzwi alkierza.

— Jego szukają! One mówiły, że przed tygodniem to un był w nocy w karczmie przyłęckiej, rozbił nos strażnikowi i uciekł!...

— Jezus, Maria! — krzyknęła, bo tego szczegółu nie wiedziała.

— Wy jego nie trzymajcie, jak on przyjdzie, bo jego złapią i no!... Ja to wiem, jak mój młodszy brat uciekł z wojska, to myśmy go chowali przez dwie niedziele, a potem to jego w nocy wzięli i my go już nie zobaczyli; aj, aj! co to była za godzina!...

Zachlusnął się aż ze wzruszenia.

— Żeby on był pojechał sobie do Ameryki, toby jego nie wzięli...

— Gdzie to? — zapytała prędko.

— Do Ameryki, to jest daleko, to jest za morzem, to jest może za dwa morzem... Tam dużo jest i Żydki, i Polaki, i Niemcy... Tam jest dobrze, tam żadnych strażników nie ma... Ja wiem, od nas z miasta jest tam felczera<sup>171</sup> syn i on ojcu co rok przysyła pieniędzy...

— A czemu Mosiek tam nie wysłał brata? — spytała podejrzliwie.

— Czemu? Nie było pieniędzy. Żebym ja miał tyle pieniędzy, co kosztuje droga dla mnie, dla mojej żony, dla moich dzieci, to ja bym i tu miał się dobrze.

— A siła<sup>172</sup> pieniędzy potraza? — zapytała spokojnie, udając obojętność.

— Ja dobrze nie wiem... ale mnie mówił jeden Żydek, co całe sto rubli sama droga! To wielki majuntek, wielki geld<sup>173</sup>!...

Zamilkli.

Żyd opasał się czerwoną chustką, za którą zatknął koniec kapoty, pozbierał pudełka, nadział czapkę i wychodząc szepnął ciszej:

<sup>170</sup>kurasek do gwizdania — gliniany gwizdek w kształcie kogucika. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>felczera — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>siła (starop., gw.) — dużo, wiele. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>geld (niem.) — pieniądze. [przypis edytorski]



— Ja wam po przyjacielsku radzę... niech on zaraz ucieka do Ameryki... no, ostajcie z Bogiem.

— Jedźcie z Bogiem, Mošku.

— Wiecie, ten Herszlik, co un trochę szwarcuje<sup>174</sup> ludzi za granicę... wy z nim pomówcie, un teraz jest w domu...

— Do Jameryki, za morza! Laboga! — myślała, zostawszy sama. — To pewnie tam, gdzie teraz naród ten wychodzi!

Parę dni chodziła z tą myślą, obracała ją na wszystkie strony, przeżuwała i nie mogła się zdecydować puścić chłopaka w taki świat.

— Pojadę z nim! a co ja bym tu miała ostawać! Prawda!

Ołśniła ją ta myśl i zaraz w niej się zbudziła ta niezmożona, chłopska ciekawość świata. Ale spoglądała przez okno na świat i ostygła, strach ją przenikał.

— Odjechać chałupy, ziemi, kościoła?... Wszystko ostawić i już tego nigdy nie widzieć... Jezus, adybym<sup>175</sup> zamarla chyba z tęskności! Nie kuś ty mnie, diable, nie kuś! — szeptała, ale mimo to robiło się jej w duszy coraz jaśniej.

To pewność ocalenia Jaśka tak ją rozwidniała.

— Do Jameryki! Prawda, że to i Ioni<sup>176</sup> szły tam ludzie, i latoś<sup>177</sup> idą... Juści, juści, jaże ksiądz na kazaniu mówił, żeby nie szły, bo idą na zatracenie. E, księżę gadanie a złodziejskie przysięganie... to jest ta para... o...

Ale rychło zapomniała o wszystkim, bo Jaśkowi coraz było gorzej. Rana nie chciała się goić i to rżenie w płucach nie ustawało. Robiła, co mogła i co umiała, ale wszystko nie pomagało. I okadzała go, i odczyniała, i wszystko jedno, co nic. Rozpacz ją ogarniała coraz boleśniej, bo Jasiak w chwilach przytomności, coraz rzadszych, szeptał:

— Zamrę, matulu, zamrę!

— Wyzdrowiejesz, synku, wyzdrowiejesz, nie bój się. Pan Jezus i ta Matka Częstochowska ci pomogą i wyzdrowiejesz.

— Zamrę, matulu, ja to już czuję, matulu... już się ino ostatni dech tłucze po mnie, matulu... Przyjdzie<sup>178</sup> kostucha, przyjdzie... — skarżył się słabym głosem i lzy strumieniem płynęły mu po twarzy... — Sprowadźcie mi księdza, matulu... Człowiek jest grzyszny, to niech ta ksiądz wstawi się za mną przed Pana Jezusowym sądem...

Matka, chociaż jej serce wyło i pękało z bólu, uspokajała go zapewnieniami wyzdrowienia.

Nie wierzył już i nie chciał, bo czuł w sobie znużenie zamierania.

— Co mi tam już żyć... jakby me wzieny, tobym wnetki poszedł do kreminatu... Matulu, ja już nie mogę, nie ścierpię tam, nie ścierpię... bo jak mę zamkną, to się powieszę abo co złego sobie zrobię...

— O mój jedynaku, o moja sieroto biedna, o mój parobku<sup>179</sup> kochany, ty nie odeńdziesz od matuli, nie ostawisz mnie biednej sieroty, nie ostawisz!... — jęczała, obejmując go sobą i płacząc krwawymi łzami rozpaczy...

— Kiej mi jest źle, matulu... kiej mi tak źle... tak źle... — skarżył się cicho, zapadając w półsen, pełen widzeń i majaczeń...

Przesiedziała przy nim noc całą z trwogą najwyższą, bo się jej wydawało co chwila, że już umiera, więc go chwytała w ramiona, przyciskała do serca, ogrzewała własnym ciałem jego stygnące członki, szalała z rozpaczy, aż nad ranem padła na ziemię, rozkrzyżowała ręce i głosem pełnym krzyków, skarg, żalów i prośb, pełnych krwi serdecznej, żebrała zmiłowania u Matki Najświętszej...

Na dworze była jeszcze noc ciemna, noc pełna deszczów brzęczących nieustannie po szybach, pełna zielonawych ciemności, które zalewały izbę smutkiem beznadziejnym i opuszczeniem, gdy Jasiak podniósł się na pościeli i wielkim głosem zawołał:

— Księdza! Księdza!... — i upadł bezwładnie na poduszki...

<sup>174</sup>szwarcować (pot. z niem. *schwärzen*) — przewozić a. przenosić nielegalnie przez granicę, przemycać. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>adybym zamarla (gw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: a dyć zamarłabym, tj.: to przecież umarłabym. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>toni (daw., gw.) — w zeszłym roku. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>latoś (daw., gw.) — w tym roku. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>przyjdzie — przyjdzie ci. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>parobek (daw., gw.) — tu: młodzieniec. [przypis edytorski]

Winciorkowa ledwie się dnia doczekała, zostawiła Teklę przy chorym, wzięła z grzędę kurę pod chustkę i pobiegła ma plebanię.

## VI

Kościół był poklasztorny, ogromny i wspaniały, cały wewnątrz pokryty freskami, dziwnie tylko cichy i pusty. Pleśń czuło się wśród murów.

Ksiądz odprawiał cichą mszę przed bocznym ołtarzem, dziad kościelny służył mu do mszy.

Wielkie drzwi były otwarte na rozcież, wpływało nimi słońce, a czasem wpadały ze świergotem wróble i wieszały się na gzymsach lub ołtarzach.

Winciorkowa klęczała przed ołtarzem i zamodliła się głęboko.

Cicho było zupełnie; czasem tylko dzwonek zadźwięczał, czasem głos ministranta się rozległ, a czasem potężny, basowy głos księdza zabrzmiał jak krzyk i znów była cisza, i ledwie dosłyszalne szemranie modlitw, i szelest przewracanych kartek mszału, i dalekie, dalekie, głuche echa wsi drgały pod nawami.

Pod koniec mszy tylko ciężkie westchnienia Winciorkowej coraz częściej rwały tę ciszę głęboką i jak jęk huczały po kościele. A ona się modliła gorąco, kładła w tę modlitwę wszystko: wiarę całą, siły, nadzieję, życie całe; łzami oblewała zimną posadzkę, czołgała się do stóp krzyża, żebrała litości i zmiłowania.

Podczas ostatniego dzwonięcia na „Baranek Boży” kura, leżąca obok niej dotychczas spokojnie, rzuciła się gwałtownie i pomimo nóg związanych tłukła się po posadzce i uciekała.

Złapała ją zaraz Winciorkowa i po skończeniu mszy poszła do zakrystii.

— Czekać! Zaraz — burknął ostro ksiądz.

Stała wpatrzona z pokorą w księdza, wolno rozbierającego się z szat kościelnych.

— Chodźcie za mną!

Przez puste, odrapane, porujnowane korytarze wiódł ją do swego mieszkania; głuchy odgłos kroków po zzieleniałej, starej posadzce biegł za nim echem.

Chmury gołębi uciekały przez powybijane okna, do których zaglądały zielone gałęzie świerków.

Ksiądz pogwizdywał na ptaki, a Winciorkowa z nabożną tkliwością spoglądała na przegniłe, pozacierane oblicza świętych zakonników, malowane po ścianach, na resztki malowideł widne między żebrami sklepień i rozmyślała, co mu powie:

— Można powiedzieć... przecież ksiądz... powiem, jak na spowiedzi, to nie wyda...

I tak chciała już wypowiedzieć swoje udręczenia, że pochylała się, aby go ująć za łokieć i pocałować, ale ksiądz nie zauważył jej ruchu, szedł prędko i pogwizdywał, a za nim zaczęły podfruwywać gołębie i siadać mu na głowie i na ramionach.

— Loboga! A tam Jasiak zamiera! — rozjęczała się jej dusza.

— Co wam potrzeba? Tylko prędko — zawołał, otwierając drzwi do mieszkania. Była to dawna cela przeora, tak cała pokryta malowidłami, że wyglądała jak kaplica.

Ksiądz siadł do śniadania i słuchał.

Winciorkowa opowiadała bezładnie, przerywała, aby księdza objąć za nogi, to żeby go w łokieć pocałować, to żeby tchu złapać i nie stracić wątku opowiadania.

— ...Jak na spowiedzi mówię... święta prawda... ciągał ją ano do stodoły... na rozpusztę... a przecież była z nim już po zmówinach<sup>180</sup>... chłopak pedział: „puść...”, a tamten go jeszcze lachą bez łeb... to i chwycił za widły... same już wlaży... co miał robić...

Płacz nią zatrząsł, aż się o drzwi oparła, a potem mówiła twardo, ze srogością:

— Kobietą jestem, a zrobiłabym to samo... trzy roki więzienia... to ino przez złość... bo nie winien... postawił świadków, że go chłopak chciał zabić... jego była prawda na wierzchu... taki ciarach... taki pisarek... taki zbój i rozpustnik... to ino ciągał obraza boska... a chłopak je w kreminalu!... Jezus!... Jezus!... taki wstyd... taki wstyd... a przecie jego ociec nie był byle kto... znali go, że uczciwy człowiek, a dziaduś byli jaże we Francji... a teraz chłopak za zbója, za złodzieja uważany...

— Czego chcecie? — zapytał miękko.

<sup>180</sup>zmówiny (daw.) — rozmowa swata z panną i jej rodzicami o zawarciu małżeństwa; oświadczyzny; zaręczyny. [przypis edytorski]

— Jest u mnie, taki chory... umiera prawie... Nikto nie wie, że jest u mnie, ochram, jak mogę. Ojcze duchowny, jak na spowiedzi mówię...

— Dobrze, dobrze. Nie bójcie się... — zamyślił się chwilę. — Zaraz tam przyjdę, idźcie naprzód, nikt nie będzie wiedział o tym... No, marsz, a zabierzcie sobie tę kurę... głupia...

Winciorkowa w dyrdy<sup>181</sup> pobiegła do domu i zanim jako tako wyporządkowała izbę, przyszedł ksiądz.

Wpuściła go do alkierza, a sama z godzinę klęczała przed obrazami w pierwszej izbie, zanim wyszedł od chorego.

Był bardzo wzruszony.

— Nie bójcie się, chłopak wyzdrowieje... trzeba mu tylko lekarstw...

— Ale skąd i jakich? A może ojciec duchowny napisałby do japteki.

— Ano, dobrze, zaraz pojedę do miasta; przyjdźcie w południe do mnie, to już będą.

Winciorkowa aż dygotała z rozrzewnienia i wdzięczności, chciała ucałować jego nogi, ale ją odepchnął:

— Nie bądź głupia! Jezusa ano ułap za święte nóżki i podziękuj!

— Jakbym zwiosnę miała w syrcu! — szeptała do Tekli po wyjściu księdza.

I po tylu dniach dręczących ciemności zaczęła w chałupie świtać nadzieja.

## VII

Wiosna już przyszła.

Przez cały kwiecień padały ciepłe, obfite deszcze, ale pewnego dnia, pewnego niedzielnego majowego poranku wyrzało słońce i świat cały stanął w zieleni, w kwiatkach, w śpiewie ptasząt, w radosnym, wiosennym rozmajeniu.

Jeszcze czarne role szklily się wodą, jeszcze po bruzdach, wskroś zielonych runi i młodych zbóż błyszczały smugi wody, jeszcze drogi pełne były błota, jeszcze czasem chłodnawy wiatr pociągnął od lasów, a resztki brudnych chmur przelewały się po niebie — a już nad polami, nad lasami, w sercach ludzi i zwierząt, w szumie wiatrów, w szmerze strumieni, w młodej zieleni drzew śpiewała wiosna radosny, triumfujący hymn!

Przyłęk podobny był do olbrzymiego klombu kwiatów.

Powietrze, przesycone zapachami kwiatów drzew owocowych, drażniło i upajało pieszczotliwym powiewem.

Jaskółki szalały pod czystym, bladawym błękitem nieba, przewijały się jak kule wskroś drzew okwieconych, wpadały do pustych stodół, zaglądały do okien mieszkań i wybierały miejsca na gniazda.

Trawy się bujnie puszyły aksamitnym kobiercem, zboża już się przeganiały z wiatrem jak fale, już szły ku kłosom, pięły się wyżej, do słońca. Bociany klekotały po pustych jeszcze gniazdach, brodziły po niskich łąkach wśród rozkwitłych kaczeńców, co jak drogie kamienie paliły się ostrymi barwami wśród traw. Po rowach, nad drogami, na miedzach i ugorach pełno było stokrotek i wczesnych ślazów<sup>182</sup>, i trzepotów ptasich. Radość odradzania, szczęścia, kwitnięcia buchała z ziemi, z drzew, ze słońca, z piersi ludzkich.

W Przyłęku wiśnie już okwitły, ale kwitły natomiast bardzo obficie wczesne jabłonie, których były pełne ogrody. Szare, niskie domy ginęły pod girlandami i chmurami kwieciami, nad którymi brzęczały pszczelne roje.

Wieś pełna była cichości świątecznego odpoczynku.

Przed chałupami, wśród opłotków, na podwórzach, przy studniach myli się z powagą a dokumentnie chłopci, wiatr ich obsuszał ciepły lub obcierały obwisłe gałęzie kwiatów różowych. A w głębiach domów, po komorach, oborach, stajniach huczał rój ludzki radośnie.

Czasem pieśń jaka wyleciała jak ptak z okienka i utonęła w kwiatkach jabłoni; czasem wołanie jakie huknęło i leciało ku pastwiskom, pełnym śmiechów dzieci i porykiwań latujących się krów. A wszędzie radość brzmiała a wesele.

<sup>181</sup>w dyrdy (gw.) — galopem, pędem. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>ślaz — malwa; gatunek rośliny o kielichowatych kwiatkach, posiadającej wiele odmian. [przypis edytorski]

A gdy w cichym powietrzu zadygotał srebrny głos kościelnej sygnaturki<sup>183</sup>, wychodzili z wolna z domów i ciągnęli sznurami na nabożeństwo; to starsi gospodarze w granatowych kapotach, przewiązani czerwonymi pasami, to gospodynie całe w czerwieni wełniaków<sup>184</sup> i zapasek, to parobcy w spencerkach<sup>185</sup> pasiastych, to dziewczyny w białych chustkach na głowie, z książkami w ręku do nabożeństwa, i z trzewikami w drugim, to dzieci...

Od lasów, bokiem drogi wchodziło do wsi dwoje ludzi.

Na kulach kusztykał stary, tłusty i ślepy dziad, przywiązany sznurkiem do baby idącej przed nim.

— Spiesz się, bo się opóźnim! — mruczała, pociągając go lekko.

— Głupiasz, jeszcze czas, do płotów nie będę się ano po próżnicy wydzierał, a i przed sumą nikt nie da grosika.

Pociągnął nosem i szepnął:

— Musi być, co kwitną jabłonki!

— Przecie, cała wieś jak umalowana.

— Czerwono?

— Hale! Jabłonki, to juści, że nie modro<sup>186</sup>!

— Kartofle wschodzą, co?

— Głupi! A kiedy to miały wzejść, w te pluchy!

— Ludzie muszą być na drodze, bo coś niecoś miarkuję.

— Wałą do kościoła.

Skoro minęli pierwsze chałupy, dziad przygarbił się bardziej, pochylił nagi łeb na piersi i żalonym, jękliwym głosem zaśpiewał litanie, baba dośpiewywała schryple i tak szli, nie wstępując nigdzie, ku kościołowi.

— Głośniej, kobieto! głośniej! Ludzie pobożne lubią, coby całym gardłem chwalić Pana Boga, a nie przez zęby.

— Wstąpimy to gdzie?

— Ni... po co? żeby ci dały skibkę chleba? Jeszcze prosiak ma co żreć!

Pozdrawiali ich ludzie przechodzący, bo znani byli wsi całej, a dziad przystawał, częstował tabaką, wypytywał, pogadywał to i owo i kusztykał dalej.

— Do Winciorkowej trza wstąpić.

— Aha, to do tej chłalupy za wodą, a może po kościele!

— Prowadź! — i kijaszkiem szturgnął ją w bok.

Winciorkowa właśnie szykowała się do kościoła, ale ujrzawszy skręcających do niej dziadów otworzyła drzwi na rozcież.

Dziad usiadł odsapnąć, bo się srodze już zmęczył...

— Kulasów ano nie czuję!

— Z daleka idziecie?

— I... milkę z czymś, z Górek... dla młodego to tyle, co nic, ale na mnie starego już za dużo. Winciorkowa, a chodźcie no bliżej...

Stara przysunęła się, niespokojnie, patrząc na niego.

— Mają już oko na waszą chałupę — szepnął jej do ucha. — Spotkałem starszego, a ten mi rzekł: „Wiemy, że Jasiek jest w domu, że się jeszcze lekuje, ale niech się jeno wylekuje, to my go znajdziemy!”. Tak słyszałem i umyślnie skrzyłem bez Przyłęk, coby wam po chrześcijańsku powiedzieć. Gadałem mu, że to nieprawda, jażem z nim trzy razy pił wódkę...

— A Bóg wam zapłać! — szepnęła strwożona głęboko i dalejże pchać w dziadowską torbę to jajek parę, to słoniny, to kaszy jaglanej, a wreszcie wyciągnęła ze szmatki złotówkę i wetknęła mu ją w rękę. Wzbraniał się wziąć.

— Ja ta nie hadwokat, nie za zapłatę dobrych ludzi bronie, a za dobre słowo. Sieroty wyście biedne, ale kiedy kuniecznie dajecie, to zmówię do Przemienienia Pańskiego pacierz rzetelny... Hale! Pacierz juścić pomoc może, ale trza też i pacierzowi pomagać!

— Powiedzcie! a tobym wam za to dała nie wiedzieć co!

<sup>183</sup>sygnaturka — najmniejszy dzwon kościelny. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>wełniak — spódnica z tkaniny wełniano-lnianej, zwykle wykonanej w domowym warsztacie. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>spencerek (daw.) — krótka, dwurzędowa kurtka. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>modry — intensywnie niebieski. [przypis edytorski]

— Ni ma inzej rady, ino jak pozdrowieje, trza go pchnąć w świat, a czemu to do tej Brazylei nie ma jechać, co?

— Bogac<sup>187</sup>! W tyli świat puszczać samego sierotę.

— A cóż to, ssie jeszcze czy co? A to se z nim jedźcie.

— Juści, ostawię chałupę i grunt na boskiej opatrności?

— Loboga, te kobiety! Sypiesz dobre radzenia<sup>188</sup> kiej do sakwy, a to wszystko przelatuje kiej bez przetak<sup>189</sup>! — żachnął się niecierpliwie. — A to sprzedać nie możecie, co?

— Hale! sprzedać! sprzedać! Myślałam ja i o tym, ale się bojałam.

— Bojajcie się ino, cobyście chłopaka bez to nie zatracili... Powiem Herszlikowi, to przyjdzie do was, on wszystkich tam przeprawia, mądry jucha kasztan... powiedzieć?

— A... powiedzcie — odrzekła prędko.

— Tyla narodu tam idzie! A bo to im ta źle, ano poszedł Antek Jadamów z Górek, będzie już temu dwa roki, to w przeszłą niedzielę przysłał czterysta rubli — na spłatę siostróm... Ho, ho! żebym ja miał z pięćdziesiąt lat mniej, żebym ja miał ślepie i kulasy, nie siedziałbym tu z wami, ino tam poszedł. Przyślę wam Herszlika. Panu Bogu oddaję. Prowadź, kobieto, bo słyszę, że sygnują<sup>190</sup>...

Po wyjściu dziada Winciorkowa wyprowadziła Jaśka, który już zdrowiał szybko, do ogródka za dom, pod jabłonki. Położyła mu na trawie pierzynę i przykryła go na wierzch kożuchem.

— Co waju jest? — szepnął cicho, widząc jej twarz strapioną.

— Juści nie radośnie, nie!

— Wiedzą już? — Uniósł się na pierzynie.

— Leż se spokojnie, leż... Pójdę do kościoła... to się przepytam... posłucham, co gadają.

— Ino nie siedźcie długo, bo mnie samemu ckno<sup>191</sup> — prosił cicho.

— Rychło przylecę... nie bój się...

W kościele było już narodu dosyć, śpiewali *Różaniec* w oczekiwaniu na sumę, a przed kościołem na cmentarzu chłopci stali kupami i poradzali<sup>192</sup> sobie.

Dziad przed wielkimi drzwiami głośno odmawiał pacierz. Cisza święteczna leżała na całym wzgórzu i nadpływała od wsi i od pól zalanych przez słońce.

A potem zaczęło się nabożeństwo.

Winciorkowa, wciśnięta pod chór, usiadła na posadzce i rozmyślała o tym, co jej dziad mówił i radził. Tak się zadumywała, że ani śpiewów, ani grania, ani dzwoneków prawie nie słyszała, objęły się o jej uszy jak szum niewyraźny i daleki, jakby szmer tych krajów, o których teraz myślała.

Ocknęła się dopiero na ciszę, jaka się zrobiła nagle, bo ksiądz po skończeniu nabożeństwa od ołtarza przemówił do ludu.

Mówił z powodu emigracji do Brazylji; przedstawiał całą niedolę wychodźstwa, przestrzegał, prosił, błagał, wyklinał prawie tych, co pójdą.

Chłopci słuchali w głębokim rozważaniu, tręcąc się łokciami, spoglądali na siebie, uśmiechali się nieznacznie, nic a nic nie wierzyli.

— A juści! a juści!... — myśleli.

A ksiądz dalej grzmiał swoim potężnym głosem i z takim zapałem przedstawiał tę zagubę dusz biegnących w obcy i zły świat, że wrażliwsi zaczęli wdychać głośno, ucierać nosy, a kobiety gdzieniegdzie szlochały; ale masa stała nieporuszona, zimna.

Wysuwali się potem tłumnie przed kościół i w zbitej gęstwie przystanęli prawie wszyscy, aby pogadać.

— A juści! Ksiądz się zwąchał z panami i tak gada!...

— Przecież nie będą mieli orać w kogo.

— Markotność ich rozbiera, że będą musieli sami kunie paść abo i robić...

<sup>187</sup>bogac (gw.) — gdzieżby. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>radzenia — rady. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>przetak — sito z dużymi otworami. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>sygnować (z łac.) — dawać znać; tu: dzwonić. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>ckno (daw.) — smutno. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>poradzać (gw.) — tu: rozmawiać, gwarzyć. [przypis edytorski]

— A toby ksiądz cyganił, co? — ozwał się jakiś głos.  
— Cosik w tym jest, że tak mówi — podparł go drugi.  
— Cosik?... Oto jest, żeśta głupie jak te barany! Do Brazylii chceta lecieć! Lećta! Zostawcie grunty, chałupy, wszystko! Dostanieta tam po folwarku z lasem, z lewentarzem<sup>193</sup> i z pałacem... Lećta... ostaną przecież Żydy i Niemce i dobrze im będzie na waszych gruntach! Ojej! A potem, jak przyjedzieta nazad<sup>194</sup>, to dycht<sup>195</sup> na parobków do nich akuratnie... Będzie wam pasowało... Naród głupi, to gorszy od bydłaka, bo bydłę choć ano słowem i batem pokieruje... a to kiej cielęta... zadziera ogon i leci choćby w cały świat...

— Ano, Grzegorzu, przecież w książkach stoi i powiedają...  
— Powiedają! Powiedają... żeś głupi, a nie kuźden temu uwierzy ani kuniecznie tak jest. W książkach stoi! A czytałeś?  
— Ja juści nie, ale czytał ten ceglarz z Woli... Miemiec.  
— On tak dobrze czytał, jaże od Barana gront kupił, na to on czytał!  
— A te, co poszły, to pieniądze przysyłają...  
— Jeden przyśle, a wielu się zmarnuje!  
— Grzegorz zły, że to ze starości iść nie mogła!...  
— Barany, juchy! Jak te barany! — zawołał rozgniewany Grzegorz, nacisnął czapkę, splunął i poszedł do domu.

Niejeden się zamedytował, niejedyn rozważał słowa starego, ale większość snuła dalej bałamutne wieści o Brazylii.

A najwięcej mącił umysły sołtys.

— Księdza będzieta słuchać, co? A jak urzędnik przyjdzie po podatek, to ci go ksiądz zapłaci? A jak jeść nie masz, ksiądz ci da, co? A jak grontu mało masz, doda ci go ksiądz, co? — krzyczał.

— Dać nie da, zapłacić za nikogo nie zapłaci, bo sam bidota, ale zawždy ksiądz pomysłonek ma inszy, gazety i książki czyta, to wie, co się we świecie dzieje, i nie chciałby narodu gubić — zauważył Sułek, ten, co to niedawno miał syna.

— Tak się to mówi, a trzyma on z panami, nie z nami.

— Przecież zmówiły się, coby narodu nie puszczać!

— A pewnie, że tak jest. A co to, tyła ludzi wyjdzie, ani kto robić, ani podatków płacić, ani do wojska iść.

— Strach im jest, że same ostaną, i przez to odmawiają.

— A że w Brazylii nijakich podatków nie ma, że rekruta nie bierą, że każdy jest sobie panem, to wierza, bo urzędnik wam to mówi!

— A ziemi tyle, co człowiek ino zobaczy.

— Jeszcze i pieniędzy na zagospodarowanie.

— I sifkartę<sup>196</sup> na drogę za darmo.

— Pisał Antek Jadamów, że lasy okrutne, a wszystko la naszego narodu.

— A dlaczego tam tak ciągną naszych?

— Nie wiecie, dlaczego? Urzędnik wam to powie dokumentnie, w powiecie tak mówi panowie, a to cesarz brazylijski<sup>197</sup> rozgniewał się na swych ludzi, że to katoliki nie są dobre i czarne na gębie kiejby garnki żelazne, to zawołał największego urzędnika i powiada mu: Już mi się przykrzy patrzeć na tych smoluchów, bo to ani grontu uprawiać dobrze nie uprawiają, ani nic, to trza ich wypędzić w góry; a sprowadź mi polski naród, że to najlepsze chłopcy i słyszę, grontu u siebie mają mało, chrześcijany to są dobre, słyszę... Z tego poszło wszystko, to jest prawda! — zakończył poważnie, a małe, chytne, lisie oczki jego biegały po twarzach jak błyskawice.

A że to jeść im się już chciało i baby poszły naprzód, zaczęli się rozchodzić.

<sup>193</sup>lewentarz (gw.) — inwentarz; zwierzęta w gospodarstwie, szczególnie bydło. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>nazad (gw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>dycht (gw., z niem.) — akurat, właśnie, w sam raz. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>sifkarta (daw. pot., z niem.: *Schiffskarte*: karta okrętowa; *Schiff*: statek, okręt; *Karte*: karta, bilet) — bilet na podróż statkiem. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>cesarz brazylijski — od ogłoszenia niepodległości w 1822 do przewrotu wojskowego w 1889 Brazylia była cesarstwem. [przypis edytorski]

Winciorkowa szła w gromadzie i pilnie słuchała wszystkiego, wzdychała głęboko i raz po raz spoglądała na wieś, na lasy otaczające ciemną ramą, na pola zieleniejące, na rozkwitłe sady, na niebo tak czyste i niebieskie, jak na tym obrazie w kościele, na te słupy dymów niebieskich, które podnosiły się znad chałup i szły prosto w niebo, na ten lud cały rozgwarzony, różnobarwny, który szedł przed nią drogą; żal dziwny i jeszcze dziwniejszy strach ją ogarniał z wolna i przenikał dygotaniem. Ale znów te rozmowy chłopów, te olśniewające, słodkie obietnice gruntów, lasów, swobody — chwytaly ją mocno za serce i tak rozjaśniały duszę, tak rozpałały, że gotowa była jechać chociażby natychmiast.

Przed karczmą, która stała wprost jej domu, tylko wepchnięta w głąb nieco, na skrócie bocznej drogi do dworu stał strażnik z kilku chłopami.

Winciorkowa zobaczyła go natychmiast i śpiesznie podążała do domu.

Sołtys ją dogonił przed progiem samym.

— Wiecie... rządcą powiedział wczoraj w kancelarii, że żeby nie wiem co, to choćby sam złapie Jaśka, a wy tu... — szepnął cicho.

— A strażniki wiedzą, że... że?

— We wsi całej już ano wiedzą, że jest u was!

Weszli do wnętrza domu.

— Słyszeliście, co to ludzie mówią o tej Brazylii? — zagadnął po chwili.

— Słyszałam, słyszałam! A bo to wiem, jak jest! Nie wiada kiej para, a kiej wiara.

— Hale! hale! Jedno tylko miarkuję, że tam Jaškowi byłoby przezpiecznie<sup>198</sup>.

— Nie ma co, że inaczej już zrobić nie można, nie ma co!

— A z gruntem? — zapytał i oczy mu rozblęły chciwością.

— A choćby i sprzedam! — odrzekła z determinacją.

— Kto to kupi, tyle chcą sprzedać, że nikt nie chce! — powiedział chytrze.

— A choćby i za pół darmo, to sprzedam. A przecie mój grunt dobry, w jednym polu, a jest i łąka, i chałupa przecie nie ostatnia, i stodółka prawie jest nowa. Grunt doprawiony jak się patrzy...

— Ho! ho! Wiadomo, żeście najlepsza gospodyni na wsi, co prawda, to prawda.

Nie odpowiedziała, poszła do komory i wyniosła stamtąd w garści pieniądze.

— Mościewy! weźcie to... żeby się ano nie dowiedziały... — prosiła cicho.

— Już ja to wszystko urychtuję... — Podniósł się i obciągał kapotę, a na odchodnym rzekł: — Jak wychorzeje, to zaraz jedźta! Panu Bogu oddaję... A z gruntem się nie śpieszcie i nie mówcie o tym nikomu.

— To się wie, zaraz by się domiarkowali<sup>199</sup>.

— I tak się już chłopcy odgrają, bo rządcą powiedział, że całą wieś zaskarzy, jako<sup>200</sup> Jaśka wszyscy przechowują.

— Żeby on Boga przy skonaniu nie oglądał za naszą krzywdę! — zawołała namiętnie.

— Jakbyście potrzebowali kuniecznie, to ja bym kupił... nie dla siebie, bo człowiek grosza przy duszy nie ma, ale mówił mi Adam z Zacharek, coby mu się obejrzyć za gruntem dla syna, że to go żeni...

— Przyjdźcie którego dnia, to se pomówimy...

— To jest sześć morgów z łąką?

— Sześć morgów pola, a morga łąki.

— Statki<sup>201</sup> gospodarskie macie jakie?

— Są wszystkie i prawie nowe, ale to już osobno byśmy się godzili...

— A grunt w tabeli nie stoi<sup>202</sup>? — zagadnął już z progą.

— Nie, bo to mój nieboszczyk dostali jeszcze dawniej...

— Zostańcie z Bogiem!

Podali sobie ręce i sołtys wyszedł głęboko uradowany tą pewnością, że grunt kupi za byle co, dawno on już miał na niego ochotę.

<sup>198</sup>przezpiecznie (gw.) — bezpiecznie. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>domiarkować się (gw.) — zmiarkować, domyślić się. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>jako (daw., gw.) — tu: że. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>statki (daw.) — sprzęty, narzędzia potrzebne do wykonywania pewnej czynności, dziś zwł. naczynia kuchenne. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>grunt w tabeli nie stoi? — w tabeli likwidacyjnej sporządzonej w związku z przeprowadzeniem uwłaszczenia w Królestwie Polskim (1864). Tabele zawierały wyszczególnienie gruntów przechodzących na własność chłopów. Otrzymywany przez gospodarza wypis z tabeli był dowodem praw własności do ziemi. [przypis edytorski]

Stara zajrzała pod jabłonki do Jaśka i zakrzętnęła się około obiadu, bo Tekla siedziała w swojej stancji i co chwila wpadała z okrzykiem:

— A zobaczcie no, bo ledwie już dycha!

Jakoż dziecko jej ledwie dychało — dusił je krup<sup>203</sup>...

Nie zajmowała się nim wielce Winciorkowa; a bo to miała mało swoich zmartwień, a potem cóż by mu pomogła, kiedy już ostatnią parą piskało!...

Ugotowała obiad i zaniósła go chłopakowi do ogródka.

Jasiek szybko powracał do zdrowia; lekarstwa księżę, wiosna, no i młodość zwyciężyły w końcu chorobę; chodzić jeszcze nie mógł, jeszcze go czasem w piersiach okrutnie bolało, ale już rumieńce zaczynały grać pod wybielałą skórą twarzy i modre oczy patrzyły coraz weselej.

Leżał na pierzynach, pod kwitnącymi jabłonkami, które pachnącym baldachimem z kwiatów osłaniały go od słońca.

— Spaleś se? — zapytała, siadając przy nim.

— Gdzie tam! Dzwonienie słychać było, tom zmówił pacierz jeden i drugi, a potem, że to tak pszczoły brzęczą na kwiatach, że tak pachnie, tom leżał i czekał na was, matko...

— Wziął się do jedzenia.

— Dobrze ci, co?

— Dobrze, matulu, dobrze!

— Bok cię nie bolał?

— Nie, matko! O! dzwonią już na nieszpory<sup>204</sup>.

Przymilkli oboje, bo po świegotliwym śpiewie sygnaturki ozwały się wielkie dzwony i biły tak potężnie, aż ziemia drżała i kwiaty jabłoni zaczęły opadać jak różowe motyle na Jańską głowę i trawę zieloną...

— Jasiek!

Podniósł zasłuchane oczy.

— Wiedzą, że tutaj jesteś!

Gwałtownie rzucił się na pierzynach.

— Połóż się, nie bojąj się, nie dam ja cię, synku, nie.

Czarną, spracowaną ręką gładziła po jego twarzy i oczach, opowiadając mu o wszystkim, co słyszała w kościele i co powiedział jej sołtys.

— Ścierwy! Zapłaciłbym dobrze! Niech mnie ino wydadzą! — szeptał, zaciskając pięście i grożąc nimi wsi.

— Cicho, dziecko, cicho, pojedziemy se. — I opowiedziała mu, jako już dawno, jak tylko przyszedł do niej, świeciła w niej myśl, aby sprzedać grunt, chałupę, dobytek cały i wynieść się do tej Brazylii.

— Dobrze, matko, sprzedajcie wszystko, na wasze imię jest gospodarka, sprzedajcie i pojedziemy. A niechta te wszystkie przepadną, kiej człowiek poczciwy żyć nie może tutaj. Zabijaki ino same, a okpisy, a oszukańce, a judasze. Jakby tylko najprędzej, matko! najprędzej! — wołał energicznie, twarz mu rozblęśla nadzieją innego, lepszego i wolnego życia.

— Dobrze, chłopaku! Pójdę na wieś, to się przewiem<sup>205</sup> pomiędzy ludźmi abo i w karczmie rzeknę jakie słowo o gruncie, co powiedzą ludzie na to...

— A sołtysowi nie sprzedajcie, to judasz najgorszy z całej wsi. Okpi was i jeszcze mnie wyda, zółtek ten zapowietrzony, a oczy to ma kiej u wilka...

— Leż se tu spokojnie, mów pacierz, a ja pójdę.

## VIII

Jasiek pozostał sam w ogródku.

Nie mógł uleżeć spokojnie, różne myśli, różne przypuszczenia tak nim owładnęły, że kręcił się wciąż na posłaniu. Ten plan matki olśnił go i tak pociągał, że chciałby już, zaraz,

<sup>203</sup>krup — blonica krtani, ostra choroba zakaźna występująca w pierwszych latach życia, objawiająca się utrudniającą oddychanie opuchlizną gardła. Przy braku odpowiedniej pomocy prowadzi do uduszenia się. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>nieszpory (z łac. *vespera*: wieczór) — wieczorne nabożeństwo w kościołach chrześcijańskich, tradycyjnie odprowadzane o zachodzie słońca. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>przewiedzieć się (gw.) — dowiedzieć się. [przypis edytorski]



w tej chwili rzucić wszystko i jechać w ten wielki świat. Uciec od tej strasznej myśli, która go wciąż prześladowała, że musi wrócić do więzienia, że musi odsiedzieć swoje... O, bo wiedział dobrze, że prędzej czy później odnajdą go i wezmą. I tak mu było dziwno nieraz, że tak spokojnie leży już sześć tygodni u matki, że nikt go nie szuka!

To znów leżał spokojnie, patrzył w niebo prześwitujące pomiędzy kwiatami jabłoni i nasłuchiwał głosów wsi...

Jak mu się dusza rwała do tej szerokiej ulicy obstawionej domami, do tych pól, które widział niewyraźnie przez gęste, wyplecione łożyną<sup>206</sup> płoty ogródka, do ludzi znajomych, do kościoła, do pastwisk nad rzeką, gdzie tyle lat szczęśliwych przebiegał za bydłem, do karczmy, do Nastki wreszcie... ale to ostatnie imię wyrzucał z pamięci, chmurniał nagle i posepnym wzrokiem patrzył w bujną zieleni pokrzyw, co zieloną ścianą przysłaniały płoty — i zmógłszy się nasłuchiwał i wyobrażał sobie, jak to idzie już środkiem drogi, jak ludzie stają, aby go powitać, jak to okna się otwierają i wyglądają nimi kobiety, a zza węglów<sup>207</sup> wychylają się czerwone twarze dziewczuch... a wszyscy zapraszają do siebie... wysuwają ławki przed dom... częstują... a pytają... a cieszą się, że powrócił... że już zdrowy... a pomstują na rządcę, przez którego siedział... Nie, nie wejdzie nigdzie, nie... obaczy tylko wszystkich... pogada... rozpyta to i owo... i zaprosi parobków abo i gospodarzy do karczmy na poczęstunek... na przywitanie... Muzykę sprowadzą... dziewczuchy przylecą i dalejże... wesele będzie a uciecha... siedzą jak na odpuszcie...

Uśmiechał się do tych obrazów, przeżywał je wszystkie, pił rozkosz całym sercem... ale przyszło mu na pamięć to, co matka powtarzała za soltysem.

— Wydałyby mnie! — jęknął cicho, błędąc śmiertelnie. — Wydałyby? — pytał jakby siebie. — Juści, żeby wydały... juści... Już ja bym wam zapłacił za to, żeby wasze dzieci jeszcze popamiętały... — szepnął złowrogo.

Ale że się zmęczzył myśleniem, wziął książkę od nabożeństwa, otworzył tam, gdzie było założone różańcem, i wodząc palcem po literach, żeby widzieć lepiej, półgłosem odmawiał nieszpory<sup>208</sup>.

Słońce przygrzewało pocziwie; przez różowe kwiaty lało się dziwnie słodkie, rozpylone światło i drgało złotymi plamami po młodej trawie i po Jaśka twarzy, i włosach jasnych. Przeogromna cisza leżała w powietrzu, tam wysoko nad jabłoniami, gdzie tylko na tle błękitu przemykały jaskółki, a czasem ciągnęły sznurem kaczki dzikie...

Pod strzechą domu świergotały wróble, a małe, omszone szaro gąsienia przenosiły się z miejsca na miejsce pod wodzą dwóch gęsi i gąsiora, który wciąż syczał i gonił kury po ogródku lub doskakiwał do maciory z prosiętami, która tak energicznie czochała się<sup>209</sup> o jabłonie, że listki kwiatów niby deszcz różowy spływały na trawę.

Rzeczka płynęła tuż za płotem i oddzielając ich dom od wsi, bulgotała monotonna.

Było tak cicho, tak ciepło, tak dobrze...

Jasiek przestał się modlić i leżał jakby utopiony w słodkiej szczęśliwości tego dnia majowego. Patrzył poprzez rozchwiane nieco girlandy kwiatów, patrzył daleko w niebieski błękit; patrzył i zapomniał o świecie całym. Wiatr miękki, słodki, pieszczotliwy obwiewał mu twarz i chwiał nad nim ukwieconymi gałęziami, pochylał ku niemu zielone łodygi chwastów, a jemu pierś rozszerzała się radością głęboką, czystą, radością życia, a oczy oczarowane, półsenne, tak niebieskie, jak błękit tam wysoko, pełne były cichych dziękczynień i błogości niewypowiedzianych.

Czuł tylko niewyraźnie, że przez niego przepływa jakaś przesłodka fala tych blasków, barw, błękitów, słońca, zbóż szumiących, ciszy pól — życia ziemi.

— Mrocy me jakoś! Ćmi mi się w głowie!

Myślał chwilami o stanie swoim i nic nie widział i nie rozumiał, nie widział tego, że Nastka przelazła przez płot od rzeki i stoi o parę kroków od niego, i patrzy — była błąda jak chustka, jak te kwiaty jabłonek, pod którymi schylała nisko głowę.

— Jasiek! — szepnęła cicho i oczami pełnymi strachu, oczekiwania i miłości patrzyła w niego.

Nie usłyszał, nie zobaczył jej.

<sup>206</sup>łożyna — gałązki wierzbowe. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>węgiel — zewnętrzny róg budynku, narożnik. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>nieszpory — tu: wieczorne modlitwy z brewiarza. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>czochoć się (przestarz.) — trzeć się, ocierać się o coś. [przypis edytorski]

— Jasiak! — ach! tak trwoźnie zatłukło jej serce, tak trwoźnie.

Drgnął, powlókł oczami po trawie, po drzewach, po niej, przyciśniętej do jabłunki i przysłoniętej jej zwisłymi gałęziami, nie spostrzegł, zdawał mu się ten głos przywidzeniem.

Nie, już nie mogła wytrzymać, nie — przyklękła przy nim i dotykając palcami jego rąk, szepnęła cicho i łzawo:

— Jasiu! Jasiu! — Nie mogła więcej powiedzieć ze wzruszenia.

Aż usiadł na pościeli, zdumienie wyjrzało mu z szeroko otwartych oczów, chwycił ją za rękę, dotknął jej twarzy, włosów i opadł na poduszkę.

— Poszła... ty... — Nawet nie wiedział, jak mu się ta obelga wyrwała z piersi.

— Jaśku — adyc to ja!... Adyc ja do ciebie przyszła... Jaśku... loboga... — Łzy rzęsiste popłynęły z jej oczów, trzęsła się cała jak te kwiaty jabłoni, które wiatr rzucał na nich, zamierała... — Chudziaku mój, mizeroto, sieroto kochana. Jasieniu mój... — bełkotała przez łzy, dusiła się z bólu i nie mogąc już wytrzymać, rzuciła się na niego, objęła mu nogi rękami i wybuchnęła strasznym płaczem...

A w nim zniknęła zatwardziałość, te łzy ją roztopiły, tylko leżała jeszcze w twarzy surowość mocna i obawa, więc położył rękę na jej włosach i szepnął chmurnie:

— Nastka!

Dziewczyna podniosła się i zaczęła obcierać oczy.

— Tyś się zmówiła z rządcą, żeby mnie wydać, co?

Zachwiała się, jakby ją kto w piersi uderzył.

— U pani... u pani służę... służę...

— A nie mieszkasz to z nim!...

— Jezus Maria! Na tę Matkę Przenajświętszą! na tego Jezusiczka! — wołała, chwytając różaniec z jego książki. — Jasiak, co ty mówisz! Jasiak!

Ale tak ją ból ścisnął za serce, że zbladła śmiertelnie, nie mogła słowa rzec, ino łzy jak perły toczyły się z jej oczów przerażonych.

A on uwierzył w nią od razu, ten jej krzyk przeszył mu serce taką radością, że się pochylił do niej i szepnął:

— Nastuś! Nastuś moja!

Dziewczyna padła mu na piersi, objęła go rękami i utonęli w mocnym, pełnym lecz szczęścia uścisku...

Wiatr znów rozchwiał drzewa i sypał na nich jabłoniowym kwiatem — a potem stanęła cisza i ogarnęła takim spokojem, takim szczęściem ich dusze, że siedzieli na ziemi przy sobie, trzymali się za ręce i oczy ich przenikały się wskroś serc pełnych siebie...

— Dla ciebie uciekłem... dla ciebie... — zaczął urywanym głosem.

— O Jezu!

— Taka mnie tęskność rozbierała... taka tęskność...

— Wypłakiwałam ja oczy... wypłakiwałam!...

— Nastuś! Nastuś!

— Jasieniu mój!

— Tyle roków...

— Ale już nie pudziesz, już cię nie puszcę...

I znów siedzieli w ciszy niezgłębionej serc omdlałych ze szczęścia.

Wróble świergotały sennie pod strzechami, a w klasztorным ogrodzie na wzgórze zaczęły gdzieś odzywać się słowiki z kosami na przemian. Upał się już skończył, zawiewał przedwieczorny chłód, przesycony wilgocią i zapachem zbóż zielonych i kwitnących ogrodów.

Drzewa stawały w wielkiej ciszy i zadumaniu, trawy i zboża się pochylały — jakby wszystko zaczęło słuchać klekotania bocianów, szczebiotów jaskółek i tych dzwonnów na *Anioł Pański*, których jasne, ogromne głosy leciały od kościoła i rozlewały się nad wsią.

Nastka uklękła pobożnie, wzięła jego książkę i zaczęła przelzawionym, roztrzęsionym głosem czytać.

— „Anioł Pański zwiastował Marii Pannie”.

Jasiak usiadł, złożył ręce i sercem pełnym wiary powtarzał:

— „Zdrowaś Maria, łaskiś pełna...”

A dzwon długo wołał śpiżowym<sup>210</sup> głosem i rozlewał hymn wieczoru — modlitwy — odpocznienia na wieś przycichłą, na lasy, które niby hufy<sup>211</sup> potężne stały dokoła pochylone, na młode zasłuchane niwy<sup>212</sup>, na strumienie i potoki, co niby srebrne sznurzy i zwierciadła wyblyskiwały z zieleni.

Skończyli *Anioł Pański*, ale milczeli; mówiły im tylko serca i oczy rozplamione, dusze zachwycone, a czasem tylko usta.

— Nie wezmą mi cię już, nie wezmą.

— Nie bój się, Nastuś, nie.

— A dybym cię we złoto i srebro ubrała, mój ty sieroto kochany.

— Ty mnie nie znasz, Nastuś, nie. Pobierzemy się, to zobaczysz — już ja cię nie tknę nigdy ręką i marnego słowa nie powiem, i zarabiać nie dam, nie... Dziewkę se ano weźmiemy, żeby ci lżej było...

— Nie, Jasiek, nie, sama robiła będę, umiem ja wszystko... Zobaczysz, jaka ja robotna, a już porządek w chałupie miał będziesz taki, że i matka lepiej nie zrobi. A i kole świń czy kole<sup>213</sup> krów też chodzić umiem.

— Gospodyni moja kochana! — pogłaskał ją miłośnie po twarzy.

— Ino jest to... że ja biedna sierota, a ty gospodarz, ino... — zaczęła nieśmiało.

— Głupiaś, a chcesz mnie, co?

— Jasiek! Ja bym cię nie chciała, ja! — rzuciła mu się na szyję.

A potem mówiła niskim, urywanym ze wzruszenia głosem:

— A pani powiedziała, że za to, co ja dobrze jej służę, to jak pójdę za chłopą, dadzą mi krowę z cielęciami i maciorkę młodą, i sześć gęsi, i statków żdziebelko, i obleczenie<sup>214</sup> do ślubu.

— Powiedziała tak dziedziczka, Nastusiu, powiedziała?

— A juści, abo to raz. Jeszcze ze dwie niedziele temu mówiła to przy gospodyni.

— To za twoją pocziwość, Nastusiu! A widzisz, Nastuś, za twoją pocziwość!... Będziesz ty gospodynią lepszą od tych wszystkich paparuchów we wsi... będziesz, Nastuś, zobaczysz... A już się ino mojej matki nie boją!

— Ale! Adyć i rodzonej więcej nie miłowałam! Ale ona taka, że dziedziczka powiedziała, co Winciorkowa mogłaby być dziedziczką, że taka mądra, jak żadna kobieta we wsi...

— Mówiła tak, Nastuś? Mówiła? Niech jej Pan Jezus da najlepsze!

— Mówiła, Jasiu, mówiła to nawet przy rządcy... kiedy... — urwała nagle, bo to słowo, niebacznie wymówione, powlokło chmurą twarz chłopaka, zasępił się, patrzył na nią bacznie i zapytał nieśmiało:

— Nie napastował cię... co? — oczy mu zabłysły nienawiścią.

— A juści... ażem się poskarżyła pani... to pani go zawołała na pokoje... to wyszedł stamtąd taki zły, jak ten pies... to potem pomstował, że loboga... na mnie... — mówiła cicho, jakby się skarżąc przed nim...

— Już ja go przyręchtuję... już... już ja mu zapłacę za siebie i za ciebie... już on mnie popamięta... — syczał przez zęby i taka dzika zawierucha zawziętości nim zatrzęsła, że aż posiniał.

— Jasiek! bacz na siebie... on się zna z urzędem, to... a jakby cię znowu wzięny, to już bym ja, sierota, choćby i do studni się rzucić...

— Żebym miał zgnić w kryminale, a swojej krzywdy nie daruję...

— Jasiek, pomiarkuj się! pomiarkuj! — prosiła błagalnie, pełna trwogi.

Nie odpowiadał, milczeli.

Mrok już ich nakrywał, siedzieli przy sobie, ale dusze ich były daleko od siebie, rozbiegły się jak ptaki spłoszone nienawiścią i trwogą.

Cudny obłok szczęścia się rozwiął i roztopił w tej szarości zmroków, jakie spadały na ziemię. Życie ohydną swoją rękę znów położyło na ich doli...

Siedzieli tak długo, nie mogąc się uspokoić.

<sup>210</sup>śpiżowy — dziś popr.: *spiżowy*, wykonany ze spiżu, stopu miedzi, cyny i cynku. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>huf (daw.) — hufiec, oddział wojska. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>niwy — pole, ziemia uprawna. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>kole (daw., gw.) — koło, wokół, przy. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>obleczenie (gw.) — ubranie. [przypis edytorski]

Naraz wpadła Winciorkowa i szybko ku nim przemknęła wśród drzew.

Drgnęli oboje przestraszeni.

— Już cię wydały chłopcy! już cię wydały! — szepnęła stara cicho. — Byłam na wsi... byłam potem w karczmie... narodu pełno jak zwyczajnie przy niedzieli... pili sobie... strażnicy siedziały... Banach mnie zobaczył, a że to już był pijany... rozpuścił ozór i powiada: „Winciorkowa, a Jasiak już zdrowy, czas mu wracać do kamienicy... do pokojów...”. Strażnicy słuchali pilnie... uważałam... a ten pijanica jak nie zacznie gadać, że teraz wszystkie zbóje mogą se chodzić spokojnie, bo się sołtysowi oplacają... tak strażniki po cichu zaczęły pytać... a drugim chłopom w to graj... powiedziały wszystko o tobie... Jużem zmartwiała... ino me sołtys, że to już był mrok, pociągnął i powiedział, że może być rewizja!... że — umilkła wyczerpana.

— Które to chłopcy? — zapytał cicho.

— Ano, Banach, Kubik ten z końca, Sikora ze środka, ten bez ślipia, Wójcik i wszystkie, i wszystkie...

— Banach, Kubik, Sikora i Wójcik! — powtarzał wolno, bardzo wolno, wbijając sobie te nazwiska w pamięć, ale nagle zalała go zapamiętałość tak szalona, że zerwał się na nogi, pochwyił za jakiś kolec i krzyknął: — Niech tu przyjdą, niech mnie chcą wziąć, niech!... — i osłabł tak bardzo, że nogi mu się ugięły, aż się chwycił jabłonki, żeby nie upaść.

— Cicho, synu... cicho... trzeba cosik radzić.

— Trzeba stąd go wyprowadzić! — szepnęła Nastka, budząc się z przerażenia.

— Prawda, tak najlepiej, nie znajdą go, to i nie wezmą, ale gdzie?

— Gdzie? A choćby i do tych dołów za klasztor, na górę... teraz są już puste.

— Dobrze, juści, że ino tam, trzeba tylko parę pacierzy<sup>215</sup> przeczekać, żeby całkiem zmrocało... jeszcze by kto zobaczył.

Zajęła się Jaśkiem, bo ledwie dyszał, taki kaszel gwałtowny go pochwyił.

— Nastuś, wyjrzyj przed dom, czy kto nie idzie...

I zaczęła się nieskończenie długa chwila oczekiwania nocy.

Stara przez płot patrzyła na mostek, ale nic nie widziała, powracała też co chwila do Jaśka, który skurczony, jakby zmartwiała, siedział na pierzynie.

Noc zapadła prędko, cisza rozpościerała się nad światem głęboka, tylko od karczmy szły pijackie podśpiewywanie, a dźwięki muzyki i głosy schrypnięte; a od łąk ciągnęły na pola krzyki czajek i tumany niskich, białych mgieł podnosiły się nad trawami.

— Nie bój się, Jasiak! Już ja cię nie dam, jedynaku, nie dam — uspokajała go matka.

Ubrała go przy pomocy Nastki w kożuch, wzięły pierzynę w płachtę i ująwszy pod pachy mocno, bo ledwie szedł i potaczał się, wyszli z ogródka na podwórze, a stamtąd na ścieżkę biegnącą tuż pod samą górą, na której stał klasztor.

Szli cicho i bardzo wolno, bo Jasiak męczył się i odpoczywał co chwila, a czasami stara kładła się na ziemi i przyłożywszy ucho do ścierni<sup>216</sup>, nasłuchiwała.

— Przy chałupie nikogo nie słyhać!

— To nic, trzeba iść prędzej — szepnęła Nastka niecierpliwie.

— Nie mogę już... nie mogę... o Jezus! — szeptał Jasiak i coraz mocniej opuszczał się na Nastkę, która go prawie niosła.

— Cicho, Jaśku, cicho! Zaraz tam już będziemy — odpowiadała dziewczyna.

Jakoż dociągnęli się do dołów wielkich po kartoflach, które kopano w boku wzgórze, od strony lasu. Stara wyszukała najlepiej zachowany, a wydobywszy skądś wiązkę przegniłej słomy spuściła się z nią do wnętrza i zrobiła na dnie posłanie pokryte pierzyną. Wzięły go za ramiona i nogami naprzód spuściły do dołu.

— Nie bój się, Jasiak, niczego... tutaj cię już nie znajdą... a jak ci będzie markotno, że to w ciemności, to zmów sobie pacierz. Nad ranem przyjdę, to ci jeść przyniosę. Już pójdę, parobku<sup>217</sup> kochany, bo trza mi być, jak te psy przyjdą, żeby czego nie zmiarkowały... Nastka też musi bieżyc<sup>218</sup>, żeby we dworze nie gadali czego na nią.

— Nie dajcie mnie, matko... nie dajcie... — zawołał łzawym głosem i jak dziecko ułapił matkę za szyję; ten dół i noc przerażały go.

<sup>215</sup>*pacierz* — tu: miara czasu (tyle, ile potrzeba na odmówienie pacierza). [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*ścierni* — krótkie źdźbła pozostałe na polu po ścięciu zboża; por. *ściernisko*. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*parobek* (daw., gw.) — tu: młodzieniec. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*bieżyć* (gw.) — biec, śpieszyć, iść. [przypis edytorski]

Uspokoił się jednak wkrótce, był bardzo zmęczony.

— Nastuś! to i pójdziesz, co?

— A pójde, Jasiu! pójde... ale zaraz, jak państwo spać pójda, to przylecę i ostanę.

Już nic nie rzekł, ale matka, gładząc go na odchodnym, poczuła, że mu łzy płyną po twarzy.

Szły śpiesznie z powrotem, a już niedaleko domu, na rozstaju ścieżek, bo jedna szła do Winciorkowej chałupy, a druga pięła się wyżej i po wzgórzu spadała ku dworskim zabudowaniom, stara rzekła:

— Nastka, a jak wydasz, to ci już Pan Jezus za to zapłaci...

— Ja bym wydała Jaśka! Ja? Adyćbym w ogień, ady w wodę, ady z największej góry skoczyłabym dla niego... — Rozplakała się serdecznie.

— No, cicho... cicho... wierzę ci... A zjrzyj do niego.

Dziewczyna za odpowiedź całą objęła ją za nogi.

— Ady ja jestem taka wasza, jak ten pies.

Stara objęła ją za głowę i tak się pobratały na śmierć, mieszawszy łzy swoje, uczucia i ukochania.

— A niech tam ją sobie bierze, dobra dziewczucha — myślała stara, biegnąc do domu.

## IX

Nie było jeszcze nikogo w domu.

Stara zapaliła światło i starannie pousuwała z alkierza wszelkie ślady pobytu Jaśka. Czuli się o tyle spokojną, że krzątając się około gospodarstwa, odmawiała dawnym zwyczajem pacierze.

Tekla siedziała u siebie, wołała jej przez sień, ale nie przyszła.

— Pewnikiem śpi — pomyślała, zaglądając do jej izby. Tekla nieruchoma, wpatrzona w ogień, siedziała z dzieckiem na ręku.

— Co to wam?

— Ano, ledwie już zipie... musi być — kona... — szepnęła.

— Jezusie Nazareński!

A dziecko już konało; sine, wyprężone, nagie leżało na jej kolanach, z trudnością rżąc i co chwila biło rękami powietrze jak ptak tonący; ogromny ogień na kominie okrwawiał jego brzuch rozdęty i chude nóżki, zwieszające się bezwładnie.

— Już mu się tylko pacierz należy! — szepnęła Winciorkowa ze współczuciem.

— O moje dzieciątko kochane, o moja kruszyno! — wyłkała z płaczem Tekla, ogarniając dziecko rękami, jakby w obronie przed śmiercią.

Winciorkową omroczył ten widok, bo pomyślała o Jaśku, że może i on tam w dole czuje się tak samo.

Nie mogła lecieć do niego, bo mogli przyjść lada chwila, więc z niecierpliwością, coraz bardziej denerwującą, oczekiwała.

Co chwila wybiegała przed dom, patrząc na drogę.

Noc była jakaś posępna i duszna, bez gwiazd, wiatr wilgotny zawiewał z łąk i muskał jej twarz rozpaloną, zgorączkowaną oczekiwaniem... Tłukła się wprost po izbie z udręczenia. To siadała na progu i zapadała w półsen pełen czuwania, w jakąś martwą ciszę zmęczenia.

Na wsi cicho było, tylko Tekla ryczała wciąż płaczem, a chwilami rozlegał się jej rozplakany, monotony głos:

— Już ty mnie sierotą ostawisz, już ty sobie idziesz do Jezusiczka, na niebieskie po-koje... na radowanie... o Jezu! Jezu! Jezu!...

A od karczmy łały się przyciszone odgłosy muzyki i skłębione, głuche odgłosy tupotów i krzyków, a chwilami gdzieś z pastwisk dalekich, gdzie na noc wypędzano konie, migotał brzask ognia i leciał smutny, bezdźwięczny śpiew.

Winciorkowa przesiedziała na progu do świtania z tym ciągłym, niepokojącym uczuciem, że zaraz przyjdą.

Ale nie przyszli.

Muzyka w karczmie umilkła, śpiewy scichły, noc jakby zapadła w głuchy sen, a potem zaczęły pisać kury coraz gęściej na północ, a i na odmianę, bo przed świtaniem ustał wiatr i zaczął kropić drobny, ciepły deszcz.

A ona wciąż czuwała na progu, była zdrętwiała z chłodu i trwogi, nie obcierała nawet łez, które od czasu do czasu perlolistymi zdrojami płynęły z oczów i zastygły na poczerwieniałej z zimna twarzy. O świcie miała tyle tylko sił, że uklękła przed domem i wpatrzona w zorze blade, co z trudem przeciskały się przez gęste, brudne chmury, modliła się żarliwie.

Tekla z okrzykiem wypadła z izby.

— Umarło! Umarło! Ratujta, ludzie! Loboga, ratujta! — I w tym przerażeniu bolesnym chwyciła nagie dziecko na ręce i chciała z nim lecieć na wieś po ratunek.

Ledwie poradziła ją wstrzymać Winciorkowa, zajęła się zmarłym dzieckiem, a Tekla skuliła się przy kominie i płakała głośno, spazmatycznie.

Winciorkowa tak tym była zajęta, że ani spostrzegła, jak już o dobrym dniu dom otoczyli chłopci, a do środka wchodzili strażnicy z wójtem i sołtyssem na czele.

— Jasiek Winciorek u was jest?

— To go sobie szukajcie — odparła zimno.

— Prowadźcie! Gdzie on jest?

— Pod fartuch go schowałam, bo to małuśkie dzieciątko jest! — wykrzyknęła z niewątpliwą ironią i najspokojniej w jakiejś niecce zaczęła myć dziecięcego trupka.

Ale naraz Tekla zerwała się i ze szczapą w garści rzuciła się na chłopów:

— Czego tu chceta! Wy psy wściekle! Oddajta mi męża, oddajta mi dziecko! Ażebyśta pod płotem pozdychały! Ażebyśta się pierwszą strawą potruły za moje sieroctwo i umęczenie.

Obezwładnili ją rychło, bo darła się do bicia, i poszli szukać Jaśka po domu i po zabudowaniach.

— Szukajcie wiatru w polu! szukajcie! — wołała za nimi.

Juścić, że nie znaleźli, a odchodząc zapowiedzieli starej, że skoro chłopak się zjawi, ma dać znać sołtysowi.

— Juści! juści! W dyrdy polecę do sołtysa i zaraz go wam wydam! — wołała za nimi, odprowadzając ich oczami aż do karczmy, do której wszyscy weszli.

Ale mimo to nie pobięła do dołów, bo się obawiała, że może ją kto szpieguje, nie poszła przez dzień cały, pomimo że się na dobre zachmurzyło i smutna szarość zalała świat.

Dopiero o dobrym zmroku zabrała garnczek z jedzeniem i chyłkiem pobięła.

Nachyliła się nad otworem dołu i zaczęła niespokojnie wołać:

— Jasiek! Jasiek!

Nie odzywał się, zsunęła się do środka, odszukała go rękami i z trwogą niezmierną potrzęsała.

— To ty, matko!

Przebudził się z ciężkiego snu.

— Podnieś się ździebko.

— Byli?...

— Byli, ale dopiero rano. Nie przychodziłam, bo się bojałam, że w dzień łatwiej może kto wypatrzeć...

— Już tu w południe była Nastka.

— Niechaj jej Pan Jezus da zdrowie!

Podsunęła mu garnczek, wsadziła w rękę łyżkę i pojadał sobie wolno.

W dole ciemno było jak w grobie i stęchłe, przegniłe powietrze ciążyło na piersiach. Deszcz pluskał monotennie i przez otwór nie zakryty zaciął do środka i sączył się po ścianach.

— Jakże ci?

— Lepiej. Czekałem tak was, że ażę myślę, pójdę albo co!

— Ani mi się rusz krokiem! — zawołała przestraszona.

— A juści, przecież ciągle tu leżał nie będę.

— Wyzdrowiej tylko...

— To pojedziemy! — szepnął cicho, jakby do siebie.

— Pojedziemy. Jużem wszystko obmyśliła.

Namacala jego głowę, przycisnęła ją do swojej piersi i obcierając mu twarz i głaszcząc szeptała:

— Nie bój się, będzie nam tam dobrze...

— To gdzieś za morze, co?  
— Za morze podobno, za morze — powtórzyła wolno.  
— Grunty dają darmo...  
— Darmo pono i z lasami, i z lewentarzem...  
— A choćby i nie dawały, to sobie kupimy...  
— Juści, ale zawsze lepiej dostać, co dają, a za to, co mamy, można by dokupić więcej...

Starą zmorzył sen, umilkła na chwilę.

Bór niedaleki szumiał głucho, jakieś ptaki krzyczały, a deszcz wciąż monotonicznie pluł, jakby ta noc szara i mętna płakała po dniu wczorajszym.

— Ino mi żal, że to, co dziedziczka obiecała Nastce, jak za mąż pójdzie, to nic nie weźmie, bo przecie ślubu tu brać nie mogę, a potem wziąć to bydłatko za morze!

Mówił wolno, ale stara już nie słyszała, zmogło ją zmęczenie i ukolysała cisza, spała oparta plecami o ścianę dołu. Jasiak przykrył ją kożuchem swoim i chwilę jakby czuwał nad nią, ale i jego sen wkrótce zmorzył.

Noc płynęła, deszcz ustawał, natomiast podnosił się wiatr i przewalał się po polach, i świstał w otworze dołu. A potem wylaniał się z ciemności świt i zapłakanymi, zrudziały od zórz oczami rozwidniał świat i zaglądał do dołu, do śpiących przy sobie ludzi.

Pierwszy ocknął się Jasiak i zaraz obudził matkę.

— Idźcie już, bo was kto zobaczy. Ale, Nastka mi mówiła, że kiedyś dziedzic powiedział, że kupiłby łączkę, bo mu się wrzyna w jego pole. Może byście poszli do dworu, co? Zawsze lepiej zapłaci niż chłopi.

— Prawda, a że też mnie to do głowy nie przyszło. A to że dwa roki temu to nawet dziedzic przysyłał z tym ekonomem...

— I trzeba to wszystko duchem robić... — powiedział energicznie.

— Niech ino Herszlik przyjdzie, on przeprowadza ludzi...

— Prawda, sam widziałem. A jakby nie przyszedł do niego żaden...

— Mówili w karczmie, że za dwa tygodnie wychodzą ludzie z Woli...

— Za dwa tygodnie! To ja już będę całkiem zdrowy! — wykrzyknął wesoło.

— Zajdę tu do ciebie wieczorem.

— A idźcie do dziedzica albo i do księdza po to lekarstwo, ino go dużo przynieście, to prędzej wychoruję — mówił energicznie, prawie rozkazująco, aż stara zatrzęsa się z radości, że jej parobek kochany już tyle sił ma w sobie.

## X

I zaraz po południu tego dnia Winciorkowa przyoblekła się w świąteczne szaty i poszła do dworu z tą propozycją sprzedania łączki.

Trochę jej było jakoś nijako iść do państwa z interesem, więc wdychała nieco marnotnie i idąc układała sobie wszystko, to znów obliczała, co mogą dać dziedzice za łąkę, a ile weźmie za grunt i za wszystko...

... Sześć morgów pola choćby i po sto rubli... łączka z tysiąc złotych!... a teraz dwie krowy... a swynie... a ciele... a porządki... Chałupę też trzeba liczyć osobno... a stodółkę też... stodółkę kupi Sułek, chciał już to na zwiosnę...

Dwór był z boku wsi, wciśnięty pomiędzy wzgórze, na którym stał klasztor, a rzeczkę płynącą obok chałupy Winciorkowej, która przepływała dworski park, rozciągnięty na stoku wzgórza i dotykający klasztorne ogrodu.

Winciorkowa poszła do kuchni, ale tam jej powiedzieli, że państwo są w „ogrodowym pokoju”.

Dwór był parterowy, na podmurowaniu, ogromny, ze spiczastym i bardzo wysokim dachem, ozdobionym dymnikami; od strony ogrodu miał terasę szerokimi stopniami opadającą do trawników, obwiedzionych niskim, przedziwnie zielonym żywopłotem. Po obu stronach terasy<sup>219</sup>, wskroś trawników aż do rzeczki biegły alejki czerwonych głógów i bzów fioletowych — a z okien widać było wielki pas łąk przyłęczkich, zamkniętych lasami, i wieś całą, trochę skośnie leżącą w dolinie.

<sup>219</sup>terasa (daw.) — taras. [przypis edytorski]

Winciorkowa stanęła przed szklanymi drzwiami wejścia z terasy i zajrzała nieśmiało do wnętrza.

— Czego to?

— Do dziedzica! — odparła chmurnie, cofając się nieco, bo po schodach szedł rządcą ciężkim krokiem.

Był to ogromny, czerwony, ordynarny<sup>220</sup> mężczyzna, z krzaczastymi wąsami i porcelanowo-niebieskimi oczami.

— A! Winciorkowa! Moje uszanowanie! — zawołał ironicznie. — A cóż, dobrzeście schowali tego zbója, co? Ale go znajdą, ja już tego przypilnuję i pošlę go tam, skąd drugi raz nie uciecze...

— Jak Pan Jezus da, w Jego mocy to wszystko, a nie w panowej...

— Do dziedzica macie interes, a jaki?

— Nie panowa do tego głowa, nie... — powiedziała urągliwie.

Trzasnął drzwiami i poszedł.

A ona oparła się plecami o balustradę terasy, ozdobionej wazonami pełnymi kwiatów, i czekała, zapatrzona w zamglony świat i w niebo zachmurzone; zbierało się na deszcz.

W dobry pacierz przybiegła do niej Nastka.

— Dziedzic kazał, cobyście przyszli! — szepnęła, całując starą w rękę. — Byliście? — zapytała cicho, otwierając drzwi przed sobą do wielkiego przedpokoju.

— Całą noc przesiedziałam. Bóg ci zapłać, coś o nim nie zapomniała...

— A dybym ja mu... wszystko... wszystko... — powiedziała gorąco, otwierając wielkie drzwi szklane do pokoju ogromnego, pełnego krzewów zielonych.

Dziedzice siedzieli przy stole okrągłym, na biegunowych krzesłach.

Winciorkowa skłoniła się od drzwi ręką ku ziemi obojgu i zaczęła opowiadać, z czym przyszła.

— Dobrze, kupię od was łąkę. W jesieni będzie geometra<sup>221</sup>, to przemierzy.

— Wielmożny panie, mnie zaraz potrzeba sprzedać, zaraz.

— Dlaczego wam tak pilno! Wyjeżdżacie czy co?...

— Zaraz mi potrzeba pieniędzy.

— No, przecież jeszcze nie umieracie...

— Kto to wie, komu dzień abo i godzina przyjdzie, kto to wie...

I tak jej nagle duma zmiękła, tak ją za serce coś ścisnęło, że łzy posypały się po jej twarzy bardzo obficie.

Dziedziczka, że to była tkliwa pani, zerwała się i rzekła:

— Co wam jest, czego płaczecie?

— Tak mnie jakoś zamroczyło... tak... — słowa uwięzły jej w gardle, w tym łkaniu, które nią wstrząsało.

Dziedzice byli zmieszani.

A ona oparła się plecami o ścianę i płakała; chustka zsunęła się z jej siwej głowy na kark i wystąpiła ostro jej twarz bardzo szlachetna, ale tak zmięta, tak szara, taka przegryziona bólami, tak napiętnowana męką, że miała wyraz maski tragicznej. Te łzy, których powstrzymać nie mogła, wyrzywały z jej duszy całą jej troskę, całą jej historię. Płacząc, obejmując państwa za nogi, wypowiadała cichym, przebolełym głosem wszystkie swoje cierpienia. Wyżałało swoją dolę to biedne, obłąkane cierpieniem serce matczyne. Nie miała przed kim dać folgi uczuciom, a przed państwem mówiła wszystko, bo przecież jej biednej sieroty nie wydadzą na zgubę.

A dziedziczka, że to tkliwa wielce była pani, tak się przejęła tym smutkiem, aż łzy zwilżyły jej szafirowe oczy i twarz.

— Niobe<sup>222</sup>! Chłopska Niobe — szeptała przez łzy do męża po francusku. — Jakie skamienienie bólu ma w twarzy! Jaka ekspozycja<sup>223</sup>! Co za ton tych siwych włosów, tej

<sup>220</sup>ordynarny (daw.) — pospolity, zwykły. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>geometra (daw.) — geodeta, człowiek zajmujący się pomiarami gruntów. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Niobe (mit. gr.) — żona króla Teb Amfiona, matka licznego potomstwa, szczyliła się, że ma więcej dzieci niż bogini Latona, która miała tylko Apollina i Artemidę. Apollo i Artemida z zemsty zabili z łuków dzieci Niobe na jej oczach. Rozpaczącą Niobe na koniec Zeus zamienił w skałę, co czasem interpretuje się jako skamienienie z bólu i rozpacz. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>ekspozycja (z łac.) — tu: sposób przedstawienia, ukazania rzeczy. [przypis edytorski]



twarży rżniętej jakby w starej miedzi, jaka wspaniała w tym ruchu znękania! Cudowna! Cudowna! — Nie przerywajcie sobie... Płaczcie dalej — zawołała w ekstazie i przyniosła wielki aparat fotograficzny, bo namiętnie zajmowała się i fotografią i malarstwem, ale uważała fotografię za rzecz donioślejszą.

Winciorek nic z tego nie rozumiała, oparta o ścianę płakała cicho, a pani, ocierając perły łez z szafirowych oczów płynące, zdejmowała jej twarz kilka razy.

A dziedzic, kiedy stara uspokoiła się nieco, rzekł łaskawie:

— Zapomniałem, że mnie nie wolno kupować chłopskiego gruntu. Szkoda, bo kupiłbym waszą gospodarkę, na całej długości przylega do moich gruntów.

— Można, wielmożny panie, bo nasz grunt nie jest z ukazu<sup>224</sup>, nie stoi w tabeli...

— Dlaczego?

— A bo grunt z łąką ociec wielmożnego dziedzica dali z dobrej woli mojemu nieboszczykowi. Są na to papiery...

— Nie wiedziałem o tym zupełnie.

— Mój to wywiózł starszego pana do obcych krajów, lekował, bo chory był... O, wielmożny pan był wtedy jeszcze przy piersi... maluśki... Sierotą zostałam z moim Jaśkiem, sierotą!... — zaczęła znów płakać.

Dziedzic, wzruszony jej opowieścią, chodził nerwowo po pokoju.

— Nie płaczcie, matko! Zrobię wszystko, co chcecie... Kupię od was i łąkę, i gospodarstwo natychmiast... Nie wiedziałem zupełnie, iż tyle wdzięczności jesteście wam winni... Teraz sobie nieco przypominam, jak przez mgłę, co nieboszczka moja matka mówiła mi przed śmiercią o was... Mały byłem... miałem osiem lat, jak umarła!

Dziedzic aż miał łzy w oczach ze wzruszenia i z dziwowania starej.

— Ależ nie znaliśmy was zupełnie! — wykrzyknął zdumiony.

— Juści, a skądby wielmożni państwo mogli nas znać! Przecie ino ciągiem we świecie, a to w jenteresach swoich... jak każdy!...

Tak się dobrze porozumieli, że gdy wychodziła, dała jej dziedziczka butelkę wina i ciasta jakiegoś dla Jaśka, a dziedzic powiedział, że w ciągu trzech dni każe zrobić akt kupna i zapłaci.

Odprowadzili ją oboje państwo aż do ogrodu.

— A niech wam Pan Jezus błogosławi na dzieciach, na majątku, na honorze! O, dobrzeście wy ludzie, dobre!... — szeptała, upojona ich dobrocią i rozradowana.

A że jakby wiosnę miała w duszy, bo nie poszła do domu, ale obeszła z drugiej strony wzgórze i klasztor i krzakami, chyłkiem dostała się do Jaśka.

Pilno jej było opowiedzieć mu wszystko i dać to pańskie wino.

A Jasiak z błyszczącymi oczami wysłuchał opowiadania i rzekł:

— Na mszę świętą na ich intencję trza dać.

— A przecie! Jak tylko zrobimy akt i pieniądze zapłacą, zaraz dam na wotywę<sup>225</sup>.

— Pójdę i ja na nią.

— Hale! żeby cię kto zobaczył! — zawołała przestraszona.

— I... jak będę zdrowy, to ja się tam nikogo bojał nie będę.

Nie rzekła nic, bo się nie chciała mu sprzeciwić, ale na odchodnym rzekła:

— Zmów se pacierz, Jasiak, bo cię już hardość rozpiera.

Ale i ona bezwiednie uległa tej samej hardości, bo ją opuścił lęk o wszystko, wracała do domu śmiało, z podniesioną głową. Przesłoneczniła jej duszę ta pewność uratowania Jaśka.

Z zapalem uwijała się koło gospodarstwa, tylko od czasu do czasu nachodziły ją jakieś ciężkie myśli, niby cienie kładły się na jej duszę i trapiły niepokojem, więc z głuchym bólem patrzyła na pola, na lasy, na wieś... Nie mogła jeszcze uwierzyć, że to naprawdę trzeba będzie to wszystko pożegnać na zawsze!

Szklili się jej oczy łzami dziwnego żalu, opierała się na płocie i patrzyła w ten świat, w te pola, w te łąki, w to niebo — patrzyła, patrzyła, a w duszy miała ból, jaki czuć muszą drzewa wyrywane z korzeniami.

<sup>224</sup>ukaz (ros.) — w daw. Rosji: dekret, akt prawny wydany przez najwyższą władzę; chodzi o ukaz uwłaszczeniowy cara Aleksandra II z 1864 r. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>wotywa — w kościele katolickim msza odprawiana w specjalnej intencji a. msza poranna, śpiewana. [przypis edytorski]

— Raz kozie śmierć! — szeptała z determinacją. — Co będzie, to będzie — dodawała ciszej i robotą głuszyła w sobie takie myśli.

I dla nadania sobie odwagi namawiała Teklę do jazdy z nimi.

— A jak mój wróci z więzienia, to co? — odpowiedziała tamta, krzątając się około dziecka, które zaraz miano chować.

— Przyjedzie za nami.

— Co mi po tym! Wszystkie dobroci mi znane, chłopa nie mam, gruntu nie mam, dziecka nie mam, maciorkę, com od was miała, sprzedałam, aby chłopu co grosza posłać — to ta już o siebie dbała nie będąc. Sierota ja biedna, sierota, jak ten kołek we płocie!

I już nic nie mówiły, bo przyszedł dziad kościelny, trumienkę zabił, wziął pod pachę i poniósł do kościoła, do kruchty.

Ksiądz po mszy wyszedł, odmówił modlitwę, pokropił święconą wodą, a dziad na postronku trumienkę wziął, zarzucił na plecy, w drugą rękę ujął krzyż i ruszyli na cmentarz.

Deszcz mżył znów uparcie. Kilka kobiet przyłączyło się do nich i powlekli się bokiem drogi, rozmięklej i pełnej kałuż, i obsadzonej wierzbami.

Śpiewali *Kto się w opiekę*<sup>226</sup>, ale tak jakoś cicho a niemocnie, że pieśń rozlegała się nad ziemią i opadała jak żalność na przyczerniałe zboża, i obwijała się dokoła krzaków cierniowych, obsypanych obmokłym kwiatem.

A na cmentarzu było jeszcze smutniej. Drzewa stały bez ruchu z pospuszczanymi gałęziami, zmoknięte i drżące od zimna, a żółte mogiłki, po których pięły się rozchodniki<sup>227</sup>, rozpościerały się przy ziemi, jakby pod ciężarem tych prostych, czarnych krzyżów pozatykanych w ziemię. Kilka wron, spłoszonych przez idących, zerwało się z drzew i cicho połopotało do lasu. Dół już czekał gotowy, dziad spuścił trumienkę, aż ziemia jęknęła i rozprysnęła się woda, której tam dosyć naciekło, i zasypywał śpiesznie.

A Tekla, co jak martwa była cały czas, ocknęła się nagle, rzuciła na rozmiękły piasek z ogromnym krzykiem lamentacji:

— O sierota ja, sierota! Ani mnie chłopa, ani mnie gruntu, ani mnie pocieszenia nijakiego... O Ty Jezusieczku kochany, wziąłeś se wszystko, wziąłeś. Wziąłeś mnie tego robaka kochanego!... Odeszła se ona dziecina do Ciebie... odeszła, odeszła... Ostawiłeś mnie sierotą jedną, a w płakaniu ino, a w sieroctwie ino, a w ucierpieniu ino! O Jezu! Jezu! Jezu! O! o! o! — lamentowała, rwąc włosy i zanosząc się od płaczu.

A wtórowały jej te pacierze i modlitwy, i westchnienia kobiet, klęczących dokoła mogiłki zasypywanej, i szum brzoź zielonych, stojących dokoła w białych, żałobnych koszulach, i ten głuchy jęk trumienki spod padającej na nią ziemi, i ten deszcz, co siekł nieskończonymi włóknami, i to szarozielonawe, rozdeszczone powietrze.

A że deszcz się wzmagał, szybko się załatwili i poszli.

A na drodze, tak w połowie drogi, Winciorkowa spotkała sołtysa, który zawrócił i szedł z nią do domu.

— Byłem u was, ale mnie powiedzieli, żeście poszli na pogrzeb.

— Stamtąd idziemy, chowaliśmy dzieciaka Tekli, wiecie?

— A niechta marnieje to złodziejskie nasienie!

— Hale! Hale!

Nie śmiała mu się przeciwiać.

— A ja do was wedle tego gruntu... — zaczął cicho i wolno.

— Jakiego gruntu? — zakłopotana się nieco.

— Waszego. Kupiłbym... A że krześcijan też jestem dobry, to bym was nie ukrzywdził. A ma kupić kto drugi, to lepiej niech swojak kupi... a to przecie my i ździebko powinowate, bo przecież wasza matka była mojego ojca rodzoną wujną, nie baczycie<sup>228</sup> to?...

— Juści, że baczę... — odparła cicho, zaniepokojona jego propozycją.

— A sprzedać musicie. Sami przecież na gruncie nie zostanieie, a Jasiak jechać musi jak najprędzej, bo chociaż urzędnik jestem i robię, co mogę, ale się sam ano nie rządę... Sprzedacie mi, co?

<sup>226</sup>*Kto się w opiekę* — polska pieśń religijna, z tekstem psalmu 91 wg Jana Kochanowskiego. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*rozchodnik* — pospolita roślina o mięsistych liściach, płożąca się lub wznosząca, rosnąca zwykle na suchych, piaszczystych lub skalistych, miejscach. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>*baczyc* (daw., gw.) — pamiętać, uważać. [przypis edytorski]

Nie odezwała się, tylko przyspieszyła kroku.

— Zapłaciłbym wam zaraz gotowym groszem i mielibyście z czym jechać... no, Winciórkowa, zgodzimy się, co?...

— Ano, jest tak, że już grunt to jakbym sprzedała... — powiedziała prędko.

— Komu?

— Dziedzicowi.

— Sprzedaliście! Dziedzicowi! To tak! — wykrzyknął rozwścieklony zawodem, bo już był pewny, że mu się za pół darmo grunt dostanie. — To tak! Poczekajcie! To ja całą noc stawałem w karczmie, żeby rewizje zrobiły rano! To ja ochraniałem jak rodzonego syna, a wyście tak zrobili! Zwąchałaś się ze dworem, to niechże ci dwór pomoże, ty, ty małpo dworska, ty lakudro! ty! — krzyczał coraz wścieklej.

— Stul pysk, ty ukrzywdzicielu! — wrzasnęła nagle.

— Ty złodziejska gębo!

— Ja złodziejska! Ja?

— A ty, stara, ty...

— A ty oszukańcze, ty złodzieju, ty zbój! A strażnika w boru kto zabił?

— Widziałaś, ty zapamiętała, widziałaś, co? — przyskoczył do niej z pięściami.

— A kto kowala spalił, może nie ty!

— A ty czarownico piekielna, adyc zamknę ci tę gębę, zamknę.

— Zamknij, spróbuj! Jeszcze są sądy... jeszcze jest sprawiedliwość... trafię ja wszędzie, trafię...

Tak się zaczęli przezywać, tak rwać z pazurami do siebie, tak przyskakiwać, że aż ich kobiety idące z pogrzebu rozdzielić musiały, bo sołtys miał już twarz podrapaną, a Winciórkowej chustka nurzała się w błocie.

Zabrały Winciórkową pomiędzy siebie i prowadziły do chałupy, a sołtys siedł za nimi i krzyczał:

— Już ty mnie popamiętasz całe życie. Już ja wam zapłacę! Będziesz ty skomleć jak pies, jeno Jaśka zakują w kajdany i poślą na Sybir. Już ja wam zapłacę. — Charczał jak pies duszony wściekłością.

## XI

Wszystko w Przyłęku szło koleją zwykłą.

Po paru dniach słońce wiosennych zajaśniało słońce, wypilo wody z pól i wysuszyło nieco drogi; pogoda ustaliła się na dobre i wypędzała ludzi do roboty. Kto wychodził pługiem, kto dosadzał resztkę kartofli. Kto dosiewał jarzyn<sup>229</sup>, a kto znów z pól nizinnych spuszczał nagromadzone wody i kopał przegony<sup>230</sup>; cała wieś była w ciężkiej rolnej pracy a w znoju. Ale robota szła niesporo i jakoś opieszale; nie słyhać było w polach gwarów wesołych a śmiechów, a podśpiewywać.

Ludzie poruszali się wolno, ociężale, jakby zwarzeni smutnymi myślami, opuszczali ręce, wstrzymywali konie w pługach, stawali na roli i przez miedzę, przez zagony, przez zielone pólka żytnie prowadzili rozmowy.

— Wiecie! Wczoraj sześcioro z Bieżywód poszło do Brazylii.

— Prawda! A mówią, że z Malowanej Woli pół wsi się wybiera.

— To komornicy! A w Górkach trzech gospodarzy sprzedało grunt, sprzedali chudobę, sprzedali wszystko i poszli.

— Moiściewy, a co to z tego będzie!

— A co ma być!

— Pan Bóg karę na naród spuścił i rozum mu odebrał.

— Zmarnuje się naród i tyła! — zajęczała jakaś stara.

— Stareście, a pomiarkowania nie macie! Dlaczego się ma zmarnować!

— A to w tyli świat iść, na niewiadome. Pedają, że tam mowy naszej nikt nie rozumie, że wiara insza, że gorąc taki, co garnek z kartoflami, aby ino w piach wrazić, to zaraz się ugotuje!... A na morzu, powiadają...

<sup>229</sup>jarzyna — tu: jare zboże, siane na wiosnę. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>przegon (daw.) — rów melioracyjny, przekopany przez pole w celu odprowadzenia nadmiaru wody. [przypis edytorski]

— Ale, nie wszystkie przecie idą za morze.  
— Do Niemców na robotę idą.  
— A bo to u nas roboty nie ma, co! Idą ino próżniaki a pijanice, a obieżyświaty, idą ano na rozpustę i zatracenie.

— Żebyście, Antoni, cepem tak bili mocno, jak ozorem, zaraz bym was najął do młocki, a dobrze zapłacił.

— Żebyś ino co miał młócić! Wio, gniada, wio! — zawołał stary, świsnął batem, ujął pług w ręce i pochylił się, i orał dalej.

— Ale, mają robotę, a gdzie? Może u chłopów? Każdy by dwa razy tyle zrobił, co robi, żeby tylko miał, nie potrzeba mu najemnika. Może we dworze? Adyc i tam robią, bo co mają biedaki robić! Robią i w kopaniu, to dobrze, jak dostaną pieniądze na Boże Narodzenie albo i na zwiesnę. A może do fabryków iść! na zmarnowanie! Naszemu człowiekowi potrzeba gruntu, dają im w Brazylii, to tam i idą... Żyją tam inne, to czemu by nie miał żyć nasz naród! A już jak iść na robotę, to przecież lepiej do Niemców jak do swoich! Zapłacą, uhonorują i jeszcze się tyli świat zobaczy.

— Prawda, prawda! — potwierdzili prawie jednogłośnie.

— I każdy z groszem powraca z Prus.

— I wystrojony kiej dziedzic.

— Kara boska to wszystko razem, nic więcej! — mruzczała niechętna.

Takie i tym podobne rozmowy ciągnęły się codziennie po polach, chałupach, drogach, gdzie się tylko ludzie zesłi; a codziennie prawie zjawiał się w jakiejś wsi Herszlik i cichaczem, pod osłoną ciemności leśnych zamawiał na robotę do Prus lub do wyjazdu do Brazylii. A jako skutek jego roboty żarliwej, co parę tygodni wychodziły całe gromady ludzi. Szli młodzi i starzy, szły kobiety i wyrostki, z węzłkami na plecach przesuwali się cichaczem, odprowadzani przez rodziny wśród płaczów i tysięcznych pożegnań. Nie pomogły kazania księży, oddziaływania dworów ani pilnowania policji, lud powstawał i olśniony obietnicami lepszej doli, rozpalony ciekawością nowych krain, rzucał wszystko i szedł.

Tak było przez parę tygodni, że Przylęk cały żył w ciągłej gorączce wychodźstwa i w posępnym, tajemniczym nastroju cichych gawęd o emigrantach, o nowych krajach, o przyszłej doli.

Tak byli wszyscy tym pochłonięci, że mało zwracano uwagi na Jaśka Wincioraka, który wyzdrowiawszy przestał się ukrywać i bardzo zuchwale pokazywał się w różnych miejscach.

To go drwale w lesie widzieli, to pastuchy na łąkach, to dworscy ludzie w parku, to był w karczmie, to szedł przez wieś w biały dzień, hardo spoglądał na ludzi, rzucał pozdrowienia, widać, że nie bał się nikogo. Imponowało to wszystkim.

— A niech sobie chodź spokojnie, dopóki może! Co to? Zabił kogo, okradł, podpalił? Że ta trafił widłami pod rządcowe żebra, to i co? Mógł mu dziewczuchy do stodoły nie ciągać.

— Powinien teraz rządca zapłacić za siebie i za wszystkich, a to mnie złapał w lesie z siekierą i zaraz do sądu. Zapłaciłem 15 rubli! A co uciałem, chojaczka kiej ręka! Żebyś, ścierwo, Boga przy skonaniu nie oglądał!

— Ja tam nie judasz, cobym go wydawał.

— To raz, a potem to on by darował, co?

— Przecie, żeby nie darował, zawzięta jucha.

— Bez dwa roki siedział w kreminale, to on już praktyk!

— Przecie, z takim to trza kiej z jajkiem...

Tak wieś mówiła o nim, a on jakby wiedział, że nikt się nie ośmieli go wydać, pokazywał się we wsi coraz częściej, aż raz na środku drogi spotkał się z sołtysiem.

Wilcza twarz sołtysa ściągnęła się jak do kąsania, rzucił się do Jaśka.

— Te, kundlu! nie ruchaj, bo ci kulasy poprzetrącam! — mruknął Jasiek.

— Złodziej! Łapać! Chłopcy, dawać postronki! Łapać go! — krzyczał rozwścieklony, ale nikt mu nie śpieszył z pomocą, wszyscy pochowali się za węgly.

— Sołtysie, idźcie sobie swoją drogą, nie zaczepiajcie — prosił chłopak.

— Do kancelarii, do kryminału, ty złodzieju! — rzucił się na niego.

Jaśkowi zbrakło cierpliwości, uderzył go w łeb raz i drugi, rzucił na ziemię, skopał po bokach, co się zmieszcilo, i poszedł.

A sołtysa zanieśli do domu i chorzał parę dni.

— Pono was, sołtysie, gąsior potłukł czy co? — kpili chłopci potem.

— Juchy! Żadnego pomiarkowania nie mają dla takiej honornej osoby!

— Ale! Tak zbić sołtysa, kiej prosty gliniany garnek!

— A to baba kijanką szmat lepiej nie spierze...

A sołtys nie rzekł nic, tylko gnany wściekłością i wstydem pobiegł do kancelarii, a potem długo konferował z rządcą.

Za to najbliższej niedzieli przed kościołem ogłoszono przy bębnie:

„że kto złapie Jaśka Winciorka i dostawi do kancelarii gminnej, ten dostanie pięćdziesiąt rubli nagrody”.

— Kawał grosza, a czy to ino rzetelnie dadzą! — mówiono przed kościołem.

— Taki zbój! Co do grosza wypląca! — zawołał sołtys.

Parę dni wrzało o tym we wsi, we wszystkich chałupach, nikt wprawdzie wydawać Jaśka nie myślał, ale pięćdziesiąt rubli... zawsze to kawał pieniędzy. Jaki taki z chciwszych obliczał już, co by można kupić za te pieniądze... i oglądał się posępnie.

A sołtys przy tym nie próżnował, zacięła mu się dusza zawziętością taką, że ino pił dnie całe, jak wilk tropił nocami Jaśka i podburzał chłopów tak skutecznie, że po paru dniach już po chałupach mówiono:

— Kiedy tyła pieniędzy za niego dają, to musi być, co to zbój!

— Podobno dziedzicowi z Woli wziął cztery konie.

— Żeby to tyle... ano w Koziełkach pono przenocować go nie chcieli, to przez złość podpalił stodołę... pół wsi się z tego skurzyło...

— Prawda! Na miły Bóg, prawda! Przyjeżdżały pogorzelaکی do kancelarii i mówiły, że ich ktosik spalił.

— Jezus! Taki zbój, taki podpalacz!

Juści, że w tym wszystkim nie było ani źdźbła prawdy, lecz tylko sołtysowa złość. A że zdarzyło się w tym czasie, iż kilka partii<sup>231</sup>, emigrujących cichaczem przez granicę, schwytano i zawrócono do domów i trochę do kozy<sup>232</sup>, to sołtys głośno już krzyczał, że to robota Jaśka.

I tym ostatecznie rozsrożył wieś na niego.

Odczuła to najpierw Winciorkowa, bo odsuwali się od niej jak od zapowietrzonej, a gdy przechodziła przez wieś, leciały za nią głosy:

— Złodziejska mać!

— Ludzie to są jak te świnię, co by im nie rzucić, żrą wszystko — myślała z goryczą, bo żarło ją to nie zasłużone postępowanie. Ale zapominała o tym, zajęta przygotowaniami do wyjazdu.

Sprzedawała dziedzicowi gospodarkę, wyprzedawała z wolna różne ruchomości i czekali już teraz na Herszlika, który miał ich przeprowadzić do Prus.

— Żeby to już najprędzej. — Myślała, pełna trwożnej niecierpliwości, bo przecież wiedziała, co sołtys gada po wsi, jak się odgraża, a potem, to chociaż serce jej roślo na widok jedynaka zdrowego, silnego jak młody koń, bała się jego junactwa<sup>233</sup>, jego nieustępliwej natury. — Jak się spotka ze strażnikami, to nie ucieknie, tylko będzie bił! To już taki gatunek! Jego ojciec był taki sam! — mówiła do Tekli z dumą i obawą.

— Sielny<sup>234</sup> parobek<sup>235</sup>. Powiedali, co ino raz sołtysa wyciął, a tamten już w błocie, a przecię sołtys kawał chłopca! Loboga, taki parobek!

— Dał ci mi Pan Jezus pociechę, dał!

— Gibki w sobie, jak i mało która dziewucha! — mówiła Tekla z zapalem.

— Juści, gibki on, ten dzieciak mój kochany, gibki...

— A jak popatrzy na którą, to już nogami przebiegają jak te źrebice...

— Ale! Nie przebiegałyby... chłopak kiej malowanie...

— Obetrze się o człowieka, to ażę cosia mroczy i skóra cierpnie...

<sup>231</sup>partia — tu: zorganizowana grupa. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>koza (daw., pot.) — areszt. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>junactwo — cechy właściwe junakom: dzielność, śmiałość, zuchwałość, hardość; por. junak: śmiałek, odważny, młody mężczyzna. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>sielny (gw.) — silny, mocny. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>parobek (daw., gw.) — tu: młodzieniec. [przypis edytorski]

— Nie ma takiego drugiego, nie ma! — wykrzyknęła z dumą stara.  
— Oj, nie ma takiego... nie ma!... — szepnęła ciszej Tekla i umilkła, opuściła głowę, aby ukryć twarz rozpaloną i oczy rozgorzałe. Abo ona wiedziała, co się z nią działo od czasu, jak zobaczyła Jaśka po wyzdrowieniu?

Siedziały w milczeniu, zajęte myślami o nim, aż on wszedł do izby.

— Chłopaku, co ty robisz?! W biały dzień się pokazujesz!

— Cichoście, matko, nic mi nie będzie.

— A to sołtys dzień i noc wypatruje cię tylko jak ten jastrząb.

— Niech przyjdzie mnie wziąć!

— Sam on nie przyjdzie, a z całą wsią...

— Z całą wsią! — wykrzyknął zapamiętałe. — Niech przyjdą, niech mnie bierą... niech mnie wydadzą... aby kamienia na kamieniu we wsi bym nie zostawił. — Aż poczerwieniał ze wzruszenia.

— Jasiek! Niech cię Bóg broni. Jasiek! — uspokajała matka.

— Cała wieś, to jak te psy wściekle, aby ino człowieka zagryźć! — szepnęła Tekla.

— Nie powiadajcie byle czego! — burknął na nią ostro i zabrał się do miski, którą matka przed nim postawiła.

A Tekla nie rzekła nic, tylko patrzyła długo na tę głowę okrytą gęstą, bujną czupryną, spadającą mu aż na czoło, którą ruchem stałym odrzucał na bok, na tę twarz rumianą, pełną sił i młodości, na ten długi nos jakby ze sznura upleciony, na te modre oczy połyskliwe, na te czerwone, pełne usta, poza którymi połyskiwały białe, drobne i ostre jak u psa zęby, na te brwi czarniawe, kieby węglikiem umalowane, na te bary rozrośnięte — patrzyła... patrzyła... patrzyła... i dusza jej napełniła się dziwną słodkością i bóleniem, wszystka krew zbiegła jej do serca, a wszystkie lzy cisnęły się do oczów, aż w końcu wytrzymać nie mogła, porwała się gwałtownie i uciekła z izby.

— Bąk ich jakiś ukąsił! — zauważył, jedząc i spoglądając w okna na przemian.

— To po dziecku tak ją jeszcze ciska. Kiedy jedziemy? — zapytała ciszej.

— W niedzielę. Już ja czekał Herszlika nie będę. Kto inny przeprowadzi.

— Loboga, w niedzielę, to już za dwa dni!

— Pojutrze.

— Jezu mój miłościwy. Już w niedzielę! — i płakać zaczęła.

— Nie bójcie się, matko, przecież razem i z Nastką pojedziemy, pieniądze mamy, to co nam może źle być. Nie frasujcie sobie ano głowy po próznicy... Gospodynią wy tam będziecie na włókach<sup>236</sup>, nie na morgach!

— I to już w niedzielę trza iść? — pytała, nie wierząc jeszcze sobie.

— W niedzielę z wieczora, przyjdzie szwarcownik i powiedzie nas...

Stara, jak mogła, tłumiała płacz, ale mimo to całe sznury łez toczyły się po jej twarzy i lęk pełen żalu rozrywał jej serce.

I on nie mógł spokojnie usiedzieć i patrzeć na matkę, zjadł z miski, wziął chleba w kieszeń i poszedł.

Włóczył się jak pies beżpański po polach i po lasach, przystawał, patrzył, rozglądał się dokoła i ruszał dalej.

— O Jezu! o Jezu! — jęczała mu dusza w strasznym żalu.

— I... raz kozie śmierć, co będzie, to będzie! — dodawał sobie odwagi.

Ale dusza coraz bardziej mu miękła ze zgryzoty, nie chciał już myśleć o wyjeździe, kładł się po bruzdach i godzinami leżał wpatrzony w niebo, wsłuchany w suche chrzęsty zbóż pochylających się nad nim, w śpiewanie skowronków, w pokrzyki, co leciały ode wsi, nisko nad zbożami, w brzęki owadów — usuwał się w tę ziemię czarną, pulchną, okrytą zielenią, w tę ziemię rodzoną, w tę ziemię kochaną!...

— Jezus! Jezus! — krzyczał z bólu i płakał jak dziecko.

A nazajutrz, w sobotę rano, wsunął się cichaczem do domu i już suchymi oczyma patrzył, jak matka oddawała Tekli wszystkie domowe sprzęty, których ani zabrać, ani sprzedać nie było można.

Stara chodziła po wszystkich kątach z zapuchłymi od płaczu oczami.

<sup>236</sup>włóka — 30 morg, tj. ok. 18 ha. [przypis edytorski]

— Tekla! Weźcie i te ławki, wszystko, co jest w chałupie, wszystko... — wołała, gorączkowo wyciągając sprzęty na środek.

Tekla brała, ale bez wylewów radości, obojętnie patrzyła na tyle dobra, nawet dar ogromnej pierzyny nie wzruszył jej martwej, zmizerowanej twarzy. Poruszała się jak automat, to szła po wodę, której przynieść zapomniała, to zaczynała szorować naczynia, to długo, bezmyślnie przypatrywała się wszystkiemu, była jakby niespełna przytomności.

Milczenie ciężkie, smutne, pełne łez niewypłakanych i żalości, panowało w izbie.

— To już jutro, synu? — rzucała cicho stara.

— Jutro, matko, jutro... — odpowiedział cicho.

Już wszystko było ułożone, musieli do dnia<sup>237</sup> wyjść, skryć się w dołach pod lasem i poczekać na przewodnika, który mógł przyjść przed południem jeszcze, a może dopiero wieczorem.

A potem w świat! w szeroki, obcy świat!

A tymczasem to oczy ich wciąż ślizgały się po tych kątach drogich, po obrazach, po ścianach, wybiegały przez okna na zabudowania, na wieś, na pola, na wieżę kościoła — spotykały się chwilami, tonęły w sobie i w tej gorzkiej żalości rozstawania i zasłaniały się powiekami prędko, prędko, żeby powstrzymać te ciężkie, ołowiane łzy...

— Pójdę do Nastki, muszę przypomnieć, żeby nie zasnęła... — porwał czapkę i uciekł z izby.

Okrażył klasztor i chyłkiem przelazłszy mur wsunął się do parku dworskiego, skrył się w wielkim świerkowym klombie, rosnącym w szczycie dworu, a tak gęstym i osłoniętym od ziemi gałęziami, że żadne oko nie mogło go dojrzeć.

Czekał długo, aż w końcu zobaczył Nastkę wybiegającą po tarasie.

Zagwizdał, bo był to sygnał umówiony, dziewczyna wkrótce przyszła.

— Nastuś, to jutro do dnia, a nie zaśpij — szepnął.

— Tak już czekam, tak czekam, że już ścierpieć nie mogę.

— Nie boisz się, co?

— A czego się mam bać! A bo to nie z tobą, nie z matką, co?

— Dobrze, Nastuś! A ten, co nas przeprowadzi, mówił, że zaraz za granicą to będziemy mogli wziąć ślub. Już ty się niczego nie bój, krzywda ci przy mnie nijaka nie będzie.

— A bo to ja nie wiem... dobryś taki, Jaśku, że... że...

— A powiedziałaś pani, że dopiero w poniedziałek.

— Powiedziałam... Pani mi dała dziesięć rubli i złoty krzyżyk, o ten!

Odwróciła się nieco i wyciągnęła zza stanika krzyżyk na czarnej tasie.

— Niech jej Pan Jezus da, co dobre.

— I dała mi pani tę książeczkę, tu pono stoi wypisane wszystko: którędy i gdzie jechać, wiele płacić i do kogo w tej Jameryce iść... wszystko... a tu jest także malowanie już tak zrobione, że tam jest każda woda i góra każda, i drogi... Pani mi wszystko pokazywała i uczyła. — Wręczyła mu mapę i książeczkę; schował ją do kieszeni i rzekł:

— Obejrzą sobie potem.

— A znasz się to na tym?

— Hola, bo mnie to ksiądz mało lachą smarował, jak mnie uczył! A potem to i uczyli mnie tam... — nie mógł wykrztusić słowa: więzienie.

Od dworu rozległ się głos jakiś wołający: „Nastuś!”

— Już polecę, bo ino wypadłam po agrest dla kucharza...

— A pamiętaj! Ino świt, o drugich kurach<sup>238</sup>. Wszystko ostaw, weź tylko na siebie, co masz najlepsze, nie żałuj, już ja ci kupię lepsze... Przychodź do matki.

— O samym świtanie! Ano koszule to zabierę i tę spódnicę, co od pani, i tę chustkę dużą, com ją też dostała, i wełniak, bo jakby ziąb był...

— Dobrze, Nastuś, dobrze, a ino nie zaśpij!

— Zasnęłabym!... ty... mój... ty najmilszy! — Objęła go rękami, zwarli się w uścisku i rozerwali natychmiast, bo znów wołano Nastki.

Jasiek wy dostał się z gęstwiny, przeczołgał się do grabowej alei, okrążając park cały, i zmierzał szybko do swojego przelazu<sup>239</sup>, gdy na skrócie spotkał się oko w oko z rządcą.

<sup>237</sup>do dnia (daw., gw.) — o świcie, przed wschodem słońca. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>o drugich kurach — kiedy po raz drugi zapieją koguty. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>przelaz — trudne, zwł. wąskie przejście. [przypis edytorski]

— A tuś mi, braciszku!

Jasiek wzdrygnął się cały ze strachu i zmartwiał. Przelaz miał o dwa kroki, jeden skok, a byłby na murze, ale nie ruszył się, przykuły go rządcy rozgorzałe oczy i tak obezwładniły, że dopiero potężny cios kijem, jaki dostał w głowę, obudził go — i już nie uciekał, zawrzała w nim krew, ożyła pamięć krzywd, zapragnął się pomścić.

Napiął się cały jak wilk i osunął na rządcę.

Zawiązała się krótka, straszna walka.

Rządca krzyczał na ludzi, ale ucichł, schwycony za gardło, przewalili się na ziemię i tarzali się jak dwa psy gryzące się na śmierć.

Rzężenia, ryki chrapliwe, przekleństwa, ciosy rąk i nóg — wszystko to migotało jak błyskawice i przewalało się po wyzwirowanej alei...

Jasiek słabł, czuł, że nie zmoże, więc z siłą szaleństwa i rozpaczyny wy dostał się na wierzch i z całej siły uderzył go kolanami w brzuch — rządcą rzygnął krwią i opadł nieprzytomny.

Nadbiegli ludzie, ale Jaśka już nie było, gnał jak jeleni do lasów.

## XII

Noc była ciepła, cicha — wiosenna.

Gwiazdy świeciły bladawo w przepaściach nieba, a z ziemi, pokrytej mgłami, podnosiły się śpiewy ptaków, a czasem chór żab zarechotał na łąkach. Wieś spała cicho, prawie bez oddechu.

Tylko Jasiek czuwał. Skoro noc głucha zapadła, wysunął się z kryjówki swojej, gdzie siedział od wczoraj, od tej ucieczki z parku.

Nic, ani światełka nigdzie, ani głosu żadnego sły chać nie było.

Do świtu było jeszcze daleko.

— To już jutro, za parę godzin i w świat daleki... daleki... — myślał — i jakby zahipnotyzowany, wyszedł na drogę przy klasztorze i poszedł do wsi.

Nie wiedział przecie, po co idzie, zapomniał o niebezpieczeństwie, zapomniał o wszystkim i wolno szedł środkiem drogi.

Wieś spała tak głęboko i spokojnie, że przez pootwierane okna sły chać było chrapania, a gdzieś tam, pod przyzbami<sup>240</sup> w sadkach, bielily się postacie śpiących na świeżym powietrzu.

Przyglądał się każdej chałupie, każdemu obejściu z uporem dziwnym człowieka, który się skupić nie potrafi. Opierał się często o kamienne płoty — przystawał, a potem znów szedł, ale szedł wolniej — ciężiej.

Czasem pies jakiś warknął przez sen na niego, czasem koń w stajni zarżał lub zakrzyczało domowe ptactwo na podwórzach — i znów była cichość taka, że Jasiek oglądał się na wszystkie strony jakby z przerażeniem.

Nie mógł nic myśleć, nic — trzęsło mu się serce i dziwna słabość go ogarniała. Za ostatnim domem usiadł na drodze pod starym krzyżem bez ramion i bezmyślnie patrzył na pola omglone.

Czuł się tak źle, jakby w umieraniu...

Dobrze już po pierwszych kurach gwiazdy zmętniały, a wkrótce na wschodniej stronie głęboki granat nieba rozjaśnił się nieco. Stamtąd szło słońce, ale było jeszcze daleko... daleko...

Jasiek siedział jak martwy, nie spał, ale i nie czuwał, nie myślał. Pochylał się w sobie coraz bardziej, jakby patrzył, i z wolna się zsuwał w jakąś głąb bezdenną, w pustkę, która się rozwarła nagle w jego duszy.

Noc się rozjaśniła z wolna; już mgły zeszkliły się bardziej i opadały nieco, wieś przyczerniała, a w polach i nad drogą zaczynały się wyłaniać z mroków kontury drzew, potem zamajaczyły sznury zagonów, a potem droga coraz wyraźniej pokazywała swój obraz.

Jasiek bezwiednie się podniósł i wolno powracał przez wieś do matki... już było tyle przedświtowego brzasku w powietrzu, że dobrze widział puste podwórze, pootwierane

<sup>240</sup> przyzba — wał usypany z ziemi dookoła podmurówki dawnej chaty wiejskiej, często obłożony kamieniami a deskami; daw. ludzie w wsi zwykli odpoczywać siedząc na przyzbie i mając za oparcie ścianę chałupy. [przypis edytorski]



wierzeje i ludzi śpiących na dworze. Wszystko spało tak głęboko i cicho, że słycać było szmer rosy spływającej z liścia na liść.

Matka siedziała na progu z różańcem w ręce, a Nastka drzemała na ławie.

— Już czas... — szepnął ledwie dosłyszalnie.

— Czas... czas... czas...

Przebudziła Nastkę, wzięli węzółki na plecy i wyszli.

Tekla zanosila się od płaczu, a pies, nie spuszczone na noc z łańcucha, zaczął skomleć żałośnie, że Jasiak powrócił go odwiązać, ale pies nie poszedł za nimi, uciekł na drogę i zaczął wyc przeraźliwie.

Przeszli podwórze i miedzę wśród zbóż, ruszyli ku lasowi.

Nikt się nie odezwał, nikt się nie obejrzał na wieś ni na dom własny, nikt nie zapłakał głośno, szli prędko, jakby uciekali, tylko kiedy niekiedy wyciągnęła się która ręka i przesunęła dłonią po kłoszących się zbożach... tylko kiedy niekiedy któreś oczy zmętniały nagle łzami... tylko kiedy niekiedy któreś piersi zaczęły się trząść rozrywane żalem...

A wiatr przedwschodni powiał po polach i rozkołysał zboża, że chyliły się na miedze przed nimi, jakby do nóg...

„Ostańcie, gospodarze... ostańcie... ostańcie...” — jakby szemrały, płacząc rosami.

A te drzewa po polach, te tarniny, te grusze stare wyciągały gałęzie przed nimi, wysadzały drogę i szumiały głucho: o! o! o!

A światła zórz drgały nad polami, przebłyskiwały w rosach krwawo jak oczy zrozpaczone, jak oczy zaszklone łzami, odbijały się w wodach jak oczy szukające, obłąkane — rozsiewały po świetle trwogę i niepokój...

A oni szli coraz prędzej, pełni żalu, pełni męki, pełni łez.

Pod lasem, już na rozstajach dróg, gdzie Chrystus na krzyżu wyciągał swe ofiarne ciało i umordowaną głowę pochylał na piersi, pękła ich moc panowania nad sobą. Rzucili się na kolana do stóp krzyża i wybuchnęli płaczem rozdzierającym.

— O mój Jezu, mój Jezu! mój Jezu! A ochfiarujemy my się Tobie... a oddajemy się, sieroty biedne, Tobie, Czesłochowska, pod Twoją świętą opiekę, pod Twoją... — wołały ich serca pełne żalu...

A potem odpoczęli trochę, bo już im sił brakowało z utrudzenia i płaczu.

— Już ja cię nie zobaczę, ty ziemio rodzona, już cię nie zobaczę, ty mój świecie, już cię nie zobaczę... — szeptała Winciorkowa i ostatnimi spojrzzeniami leciała na pola, na wieś, na ten jej świat cały, rozwidniony światem, i brała go obficie w siebie jak Ostatni Sakrament, jak namaszczenie ostatnie na drogę daleką...

A potem na ostatnie pożegnanie, bo już iść trza było, przywarli piersiami do tych zagonów rodzinnych, do tej matki-ziemi i spieczonymi ustami całowali jej łono święte... po raz ostatni...

— Chodźcie, matko, chodź, Nastuś! bo już biały dzień, jeszcze kto zobaczy! — przynaglał Jasiak, bo kobiety nie mogły się utulić w płaczu ni oderwać od ziemi.

I wkrótce pod osłonę lasu dostali się do dołów po kartoflach, w których Jasiak czas jakiś przepędził; tam, wedle umowy z przewodnikiem, mieli czekać na niego.

A że byli pomęczeni, usnęli wkrótce snem kamiennym.

Przebudzili się późno dosyć, bo akurat dzwoniło na nieszpory.

Stara rozwiązała tobołek i zaczęli się pożywiać, bo srodze byli zgłodniałi.

— Na nieszpór sygnują.

— Coś długo nie widać szwarcownika.

— A pewny to człowiek, synu, co?

— Przecie, na pewnośc, że przyjdzie, to dał mi dziesięć rubli.

Jedli dalej w milczeniu, spoglądając w błękitne niebo, którego skrawek widać było przez otwór dołu.

Naraz Jasiak się zerwał, jakieś splątane głosy rozległy się nad nimi.

Wziął kij, przysunął się do otworu i słuchał długo...

— Jest dużo ludzi... słycać, że idą... cichoście... — szepnął — wspiął się nieco, żeby wyrzec na świat, ale natychmiast opadł na dno. — Chłopy nasze ze strażnikami... oblawa... to na mnie... Jezu! — wyrzucił prędko z siebie... gorączkowo... — Siedźcie tu cicho... nie ruszajcie się do nocy... ja... ja wyjdę... Bór o parę kroków... żeby nie wiem co, to się do niego dostanę, a tam mnie już nie dostaną... nie... jak się... ściemni... będę

Żal, Pożegnanie

Ucieczka

was czekał kiele przylęckiej karczmy... Idą... szukają po dołach... o... o... — szeptał cicho, coraz ciszej... przysiadł nieco, bo dygotał cały ze strachu i niepokoju, kobiety zmartwiały oniemiały także... wszyscy słuchali tych głuchych głosów, które były coraz bliżej... bliżej...

Jezus! Jezus. Już słycać było ciężkie stąpania i stuk kijów o kamienie.

Jasiek zapiął kapotę, ścisnął kij, wpatrywał się czas jakiś w otwór.

— Przy karczynie... pamiętajcie... — szepnął, przeżegnał się nerwowo i nie obejrzawszy się nawet na kobiety, wyskoczył z dołu na światło...

Zatrzymał się na chwilę, bo oślepiło go słońce.

— Trzymaj, łapaj! trzymaj! — podniósł się nagły wrzask dookoła.

Był otoczony zupełnie, ze wszystkich stron posuwała się ku niemu zwarta falanga<sup>241</sup> chłopów z ogromnymi kijami w rękach. Byli od niego o kilkadziesiąt kroków, wchodzili już na wzgórze, w którym były pokopane doły.

— Do boru! — pomyślał i rzucił się z największym impetem w stronę lasu na ścianę ludzi, najeżoną dziesiątkami kijów i rąk wyciągniętych; ściana się zachwiała, pękła i w połowie runęła na ziemię razem z Jaśkiem. Zawiazała się krótka a sroga walka. Kilkadziesiąt ciał skłębiło się w gwałtownym wirze i potoczyło po spadku wzgórza.

Jasiek się nie dał, z taką wściekłością i szaleństwem się bronił, z taką zapamiętałością prał kijem, kopał, gryzł, szarpał — że wyrwał się ze szponów i pognał ku wsi, bo drogę do lasu zastąpili inni chłopci, biegnący na pomoc pierwszym... Uciekał jak wilk goniony przez całą psiarnię obławy, która się rozwlekła za nim i z ogromnym wrzaskiem gonila.

Uciekał jak wicher... aby tylko do wsi i na drugą stronę pól... do lasu...

Wydobywał wszystkie siły, leciał na skrzydłach szaleństwa i rozpacz, a zaczynał uczuwać, że uciec nie potrafi, że zbraknie mu sił, bo las był jeszcze daleko... pogoń coraz bliżej... a jemu brakowało tchu... mroczyło go... potykał się... zboża już bujne plątały mu nogi...

— Trzymaj!... łapaj!... — wrzało coraz bliżej za nim.

Podrzucał się, jak piłka, ostatnimi wysiłkami... jeszcze parę stajań... jeszcze... O Jezus!... aby do ogrodów... pomiędzy drzewa... Jezus!... o Mario!... o! o! Piersi mu pękały z wysiłku, nie miał już sił — krew zalewała mu oczy... nic nie widział.

Dopał ogrodów, biegł nimi jeszcze przez chwilę i upadł pod jakąś stodołą.

— Nie strzymam... — pomyślał po chwili, zobaczywszy przez drzewa twarze goniących.

Był tak zmęczonym i rozbitym w sobie, tak wyczerpanym, że poruszyć się nie mógł.

— A niech tam! A niech tam! — snuło mu się ciężko w mózgu i ogarnęła go taka straszna apatia, takie zniechęcenie, że już mu było wszystko jedno...

Dyszał tylko, obcierał podartą w bójkę twarz i z jakimś spokojem obłąkania, nieprzytomności, wpatrywał się w sylwetki ludzi nadbiegających.

Był tak śmiertelnie zmęczonym, tak strasznie zmęczonym, że już nie miał sił ani woli, ani myśli jednej...

Jęczał jak dziecko umierające i lzy zdenerwowania płynęły mu strumieniem i obmywały twarz pokrwawioną, a serce przenikać zaczął straszny, nieopowiedziany żal...

Naraz uniósł się nieco, ludzie byli już o kilkadziesiąt kroków, fala krzyków rozbrzmiała w ogrodach!

— Nie, nie daruję! nie daruję — wyszeptał, ożywił się nagle, myśl zemsty wstrząsnęła nim jak huragan, zapaliła błyskawice w oczach, dała moc.

Porwał się na nogi, wyrwał pęk słomy z podszycia stodoły, podpalił zapalką i skoro buchnął płomień — przytknął go do poszycia i rzucił na dach!...

Dach w tej chwili stanął w płomieniach!

— Nie daruję! nie daruję! — szeptał dziko i taką zawziętością cały się przepoił, taką radością zemsty przesycił duszę, tak w niej skamieniał, że wolno, obojętnie poszedł wzdłuż zabudowań, a potem zapadł w żyto już wykłoszone i czołgał się na czworakach ku lasom...

Pogoń ustala.

Po paru minutach odwrócił się i spojrzal na wieś.

Pożar

<sup>241</sup>*falanga* — w staroż. Grecji zwarty szyk ciężkozbrojnej piechoty; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

Stodoła była cała w ogniu, płonęła jak pęk słomy, a zajmowały się już sąsiednie zabudowania i domy!

— Popamiętają mnie, ścierwy! Popamiętają! — szepnął z mściwością i nie mogąc już na czworakach, chyłkiem biegł, przyśpieszał kroku...

Krzyk ogromny rozległ się nad wsią i biegł po polach za nim.

— Gore! gore! gore!...

Do lasu było już niedaleko, więc się wyprostował i nie ukrywając już, biegł śpiesznie...

Już widział czerwone pnie sosen, zieleni liści, już wionął na niego uroczysty, jakby kościelny chłód lasów, pełen głębokich szumów.

Jeszcze chwilę, a będzie wolny zupełnie, wolny i nasycony zemstą...

Zadrżał nagle i przystanął.

Dzwony zaczęły bić głucho, ponuro, na trwogę...

Odwrócił się i aż krzyknął mimo woli.

Pół wsi stało w ogniu.

— Popamiętajcie mnie! Popa... — nie skończył, jakaś groza straszna targnęła go za serce, słowa zamaryły mu w gardle, z rozszerzonych źrenic wyjrzał strach, przerażenie... zdumienie okropne... — Wieś w ogniu! cała wieś! — zaskowyczał sinymi wargami. — Jezus! Jezus!

Zaczął uciekać, ale nagle odwrócił się znów do ognia.

Dzwony były wciąż, były potężnie, rozpacznie, a razem ze śpiżowymi głosami biegł od wsi straszny krzyk, jęk przerywany i rozlewał się po zielonych, szumiących zbożami polach, i leciał w przestrzeń, ku słońcu jasnemu...

Jasiek powracał tą samą drogą, nic już nie wiedział, co się z nim stało, wpatrzony w szalejącą groblę<sup>242</sup> płomieni i dymów, usypaną nad wsią, szedł martwy z przerażenia i zgrozy.

Cały środek wsi, po obu stronach drogi już był w ogniu.

Płomienne grzywy podnosiły się coraz wyżej, opadały na ścianę, przerzucały się, piełniły gęstym, czarnym dymem i chlustały czerwoną, straszną falą ognia z budynku na budynek, z chałupy na chałupę, poprzez drogę, poprzez grody, które również palić się zaczęły.

Dzwony uderzyły na trwogę, a wieś całą zalał okropny krzyk rozpacz, lamenty i płacze.

Ludzie biegali oszaleli zupełnie, nikt nie ratował, a ogień z triumfem szedł coraz dalej, ogarniał coraz szerzej, żarł coraz potężniej, szedł jak zły duch w chmurze dymów, przewalał się po domach, a gdzie stąpił, gdzie jego ognisty blask padł, tam buchały strugi ognia, szło nieszczęście i były krzyki rozpacz ludzkich.

Nikt nie ratował, bo nie było czym, nie było narzędzi, nie było wody, nie było rąk, nikt nie miał przytomności, a przy tym połowa męska ludności wyszła na oblławę za Winciorkiem, a kobiety były w kościele na nieszpórach. A gdy się zbiegli, nie było już mowy o ratunku. Pół wsi płonęło.

Dzwony huczały żałośnie, a ksiądz wyszedł z kościoła z monstrancją<sup>243</sup>, pod baldachimem, w otoczeniu świec zapalonych, dzwonek jęczących, ludu zrozpaczonego — i szedł środkiem wsi.

— „Święty Boże!”

Buchnęło jak wulkan z piersi nieszczęśliwych:

— „Święty a nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!”

Skowyczały serca i szli zbitą gęstwą pomiędzy ścianami ognia, w zgiełku padających ścian, w deszczu ognistych żagwi i iskier, w chaosie szumów, świstów i syków żywiołu, który tarzał się po wsi, podnosił tysiączne, rozwichrzone lby do słońca, zapadał we wnętrzu chałup i z wściekłością pożerał i trawował wszystko...

<sup>242</sup>grobla — wał ziemny utrzymujący wodę w sztucznych zbiornikach wodnych, takich jak stawy i kanały; grzbietem grobli często wiodły drogi. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>monstrancja (z łac. *monstrare*: pokazywać) — ozdobne naczynie, w którym podczas uroczystości w kościele katolickim umieszcza się i pokazuje publicznie (stąd nazwa) hostię. [przypis edytorski]

— „Od powietrza, głodu, ognia i wojny!” — intonował ksiądz uroczystym głosem, a lzy lały mu się strumieniem po twarzy. Dzwony wciąż huczały mocno... posępnie.

A lud cały w krzyku, w obląkaniu, w męce, wył setkami głosów:

— „Zachowaj nas, Panie!”

Procesja obchodziła teraz wieś dookoła, szła ogrodami.

Wójt i pisarz zaczęli też organizować jakiś ratunek.

— Kto podpalił?

— Winciorek! Winciorek!

Widziano przecież, jak się zapaliła stodoła, tam, gdzie się schował.

— Winciorek! Podpalacz! Dawać go! — rozległ się taki krzyk, że ogłuszył na chwilę śpiewy procesji.

Zemstą zawrzały wszystkie dusze, straszną zemstą.

— Szukać go, łapać! zabić! — wołano ze wszystkich stron.

Ale nikt nie wiedział, gdzie on jest.

Cała gromada rozwścieczonych, oszalałych rzuciła się do jego domu, za wodę, gdzie nie groziło niebezpieczeństwo.

Na progu siedziała Tekla i na widok chłopów biegnących podniosła się jak widmo, pochwyciła jakiś kołek i wrzeszczała obląkana.

— Nie dom! nie dom! nie dom!

Za nią, z wnętrza domu, ukazała się wysoka postać Jaśka.

— Jest! jest! Dawać go! — wrzasnął tłum.

Rzucili się na dom, w mgnieniu oka rozturbowali Teklę, bo jak suka broniła przystępu do drzwi, ale Jasiek jakimś ostatnim ruchem przytomności skoczył na górę pod dach i zrzucił za sobą drabinę.

— Spalić, spalić! — zaręczano.

Zamknięto drzwi, pozabijano kołkami, podparli okna deskami, zawaliли wyjścia płotami, czym kto mógł, i podpalił dom ze wszystkich stron — otoczyli go dookoła i czekali...

Słomiany dach zajął się prędko, a w parę minut był już cały dom w ogniu, w kłębach dymów.

Jasiek teraz dopiero oprzytomniał, gdy się dach przepalał i na głowę zaczęły się lać strugi ognia, skoczył do szczytu, wybił deskę i runął na dół prawie na ręce pilnujących chłopów.

Już się nie podniósł, bo kilkadziesiąt nóg, rąk i kijów spadło na niego.

— W ogień go! Za krzywdę naszą! W ogień! — wrzeszczeli.

Kilkanaście rąk pochwyciło go za nogi i głowę, rozkołysali i jak tłumok rzucili na dach.

Dach się zapadł i buchnął ognistym tumanem skier.

Rozległ się tylko straszny, nieludzki krzyk z wnętrza domu.

Odpowiedział mu drugi, na drodze...

To matka powróciła do palącej się wsi, powróciła w chwili rzucania syna w ogień.

Patrzyła martwym wzrokiem w płonący dom, stała z wyciągniętymi rękami, pochylona, jakby biec chciała na zabicie.

— Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! — powtarzała wolno, coraz ciszej... rozkrzyżowała ręce, posiniała nagle i runęła martwa na ziemię.

*Suchodębie, 12 sierpnia 1899*

Zemsta

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sprawiedliwie>

Tekst opracowany na podstawie:

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Wolk, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0801-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.